



PARADA

BOŽE NARODZENIE
1945

SIÓDMA WIGILIA

Co roku nadchodzi noc, której się boję równie jak do niej tęsknię, którą kocham tak, jak kochać można tylko to co się okupuje największym cierpieniem. Noc nie zmieniająca się od siedmiu długich lat, podczas których jak w kalejdoskopie zmieniało się wszystko — ziemię i morza, ludzie, domy, drzewa, kwiaty, troski i nadzieje. Ubożały, szarzyły te lata, rósł tylko i pęczniał ciężar wspomnień — coraz smutniejszych, coraz droższych — już jedynej niezaprzeczalnej własności. Co roku, tej nocy zatrzymuje się czas, tak, jak w opowieściach o duchach wierne domowe zegary zatrzymują się wtedy, kiedy ktoś umiera.

Kiedy na tarczy nieba wskazówka słońca pochyla się ku szarym, wieczornym godzinom, kiedy zaświeci nad horyzontem jak purpurowa latarnia i nagle zgaśnie — umiera dzień, który na całym świecie nazywa się wigilią. Wtedy staje czas.

Na niebie zapaliła się pierwsza gwiazda, za nią druga, trzecia, dziesiąta. Setki, miliony jasnych punkcików świeci tam w górze — aż nagle jakiś podmuch zakotłosał nimi, potrząsnął i oto — spadają z góry, płyną wolno, migotliwie, pionowo, bardzo cicho. Padają na ziemię, miękko osiadają na rzesach, są zimne i mokre.

Padą śnieg.

Śnieg wigilijny jest inny niż ten, przez który trzeba było brnąć po kolana, tej pierwszej nocy, kiedy szłam na Zachód przez biały śnieg, spiesząc do Domu na wezwanie pierwszej gwiazdy. Tamto był wrogi żywioł, kryjący w swojej bieli pokusę śmiertelnego snu, ale już za Podwołoczyskami, kiedy z daleka widać było światła Tarnopola, a tuż za nimi świąteczną, neonową tunę nad Lwowem — śnieg stawał się przyjacielski, miękki i ozdobny, jak szklanna wata, którą tak ostrożnie rozkłada się na gałązkach choinki. Bo wtedy jeszcze była choinka w tym Domu, do którego czarami nocy wigilijnej — wracało serce. Wtedy życzyliśmy sobie, żeby za rok w domu... wszyscy razem... opłatkami...

I wierzyliśmy, że nie może być inaczej.

Ale już następnego roku nie było choinki. Nie dała się już przywołać wspomnieniem, ani wyobraźnią — choć w ogromnej świetlicy żołnierskiej sięgał aż pod sufit rozłożysty świerk, obwieszony kolorowymi zabawkami. W Domu było przeraźliwie zimno, w piecu nie paliło się od dawna, a zimy wojenne są podobno zawsze szczególnie mroźne.

Biały opłatek leżał jak krążek światła pośród nas i miał smak Św. Komunii. Na wszystkich twarzach kwitł ten sam odświętnie radosny, choć zakłopotany uśmiech — jak długo oszczędzana, najlepsza suknia.

Za oknami stała noc granatowa, szklanna, odgradzająca nas ścianą ciszy od jutra, w którym czekało się niebezpieczeństwo, troska i uporczywy, mdlący głód — tęsknota. Cicho śpiewaliśmy kolędę:

„Bóg się rodzi, moc truchleje...”

Było wśród nas dziecinne, ufne niebezpieczeństwo Domu, który był i będzie — za rok, na następne Boże Narodzenie, w wolnym Kraju...

Po kątach snuły się mroki — może cienie sprzętów, kotłowane migotliwym drżeniem świec, może cienie nadziei, które umarli, może ludzi, o których nie wiedzieliśmy czy żyją. I już odtąd było coraz mroczniej...

Dziwna rzecz stała się z moim Domem. Zawsze był we Lwowie, pod Wysokim Zamkiem. Więc najpierw było to miasto, ulica, dom i ogród. Potem Dom się kurczył — stał się tylko pokojem, w którym byli Oni. Aż nagle, nie wiem kiedy i jak się to stało, może rozkruszyła go bomba, a może sam nie chciał się poddać — bo rozprysnął się w kawałki i już odtąd był wszędzie i nazywał się — Kraj. Ale serce Domu upadło tam, gdzie była Warszawa. Wtedy dogasały już zgliszcza i pierwszy śnieg grudniowy kładł się białym opatrunkiem na rany i oparzeliny.

Myslałam, że nie będzie wigilijnej gwiazdy, nie pozostało przecież ani jedno całe okno, z którego można by jej wypatrywać. Pusto było wśród ruin — a lochy piwniczne nie wiedzą nic o gwiazdach...

Tej nocy po raz pierwszy zrodziła się świadomość, że wieczór wigilijny i nie rozerwalne z nim pojęcie Domu stało się już symbolem dawnego życia, wspomnieniem najcięższym rzeczy dawno utraconej, rozbitej, niepowrotnej.

W podziemnych kanałach, w piwnicach, wśród szkieletów dawnych ścian odnalazłam wielu moich Ojców Żołnierzy, wiele siwowłosych kobiet, z których każda mogłaby być moją Matką, wielu moich Braci — młodych, wynędzniałych chłopców, wiele dziewcząt staniających się z wyczerpania — wszystkie były moimi Siostrami. Gdzie wśród nich byli ci naprawdę moi i czy byli jeszcze — nie wiem. Ta noc wigilijna trwała zbyt krótko, aby można było przemierzyć całą rozpacz i znaleźć nadzieję.

Nie było opłatki, nie było kolędy, dzieci kaszlały, chorzy rzeźbili ciężko. Gwiazdy świeciły zimno, metalicznie. Padł śnieg, wilgotniały i obmarzały łachmany.

Gdzieś na południu, w dalekim Betlejem stała stajenka, która miała dach. Woły siwe oddychały ciepłem, pastuszkowie przynieśli dużo chleba...

Od tej nocy już nie można było w to wierzyć tak rzewnie i dziecinnie jak dawniej. Tamto Boże Narodzenie nie mogło zrodzić Miłości świata w ciepłym i sytym Betlejem — chyba gdzieś w ciemnym, wilgotnym załomie piwnicy, wśród kaszających dzieci — urodził się Bóg, otulony w łachmany, głodny i bezdomny. Dziecinnyimi oczami z przerażeniem musiał patrzeć na oświetlony daleką tuną, zda się krwią ociekający kamienny krzyż, który ocalał z rozbitego kościoła.

* * *

Nadchodzi siódma noc wigilijna. Znowu czas popłynie wstecz, uniesie serca w przeszłość, zwoła żywych i umarłych i wyczaruje raz jeszcze legendę wigilijnego wieczoru, legendę Domu, który żyje w nas i który nieść ze sobą będziemy przez życie, które może poza Polską może być tylko marszem i wędrówką.

Te same będą świeciły gwiazdy nad Warszawą, nad śnieżnymi szczytami Apeninów i na wypukłym niebie wschodniej nocy.

O dobry Boże z dziecinnej pastorałki rzucony w nędzę siódmej zimy wojennej — niech gwiazdy świecą ciepło nad Polską, niech ta noc będzie bardzo cicha, abys mógł usłyszeć, aby oni wszyscy mogli usłyszeć, aby oni serca — kiedy łamiemy się wigilijnym opłatkami.

Jadwiga Czechowiczówna

Warszawa

*A jeśli chcesz Go narodzić w cieniu
Warszawskich zgłiszcz,
To lepiej zaraz po Narodzeniu
Rzuć Go na krzyż.*

(St. Baliński — Kolęda Warszawska)

Właściwie nie rozstaliśmy się z nią nigdy. Unieśliśmy ją z sobą, jak ze zgorzeliska unosi się rzecz najdroższą, najbliższą sercu. Zachowaliśmy ją, utrwalili w pamięci. Dawną, bezprowotną. Nie wyidealizowaną bynajmniej, widzianą we wspomnieniach podsycanych tęsknotą, a codzienną — ruchliwą, roześmianą, przekorną — różną i jednolitą. Taką, jakim nie jest żadne miasto, nasze ani obce.

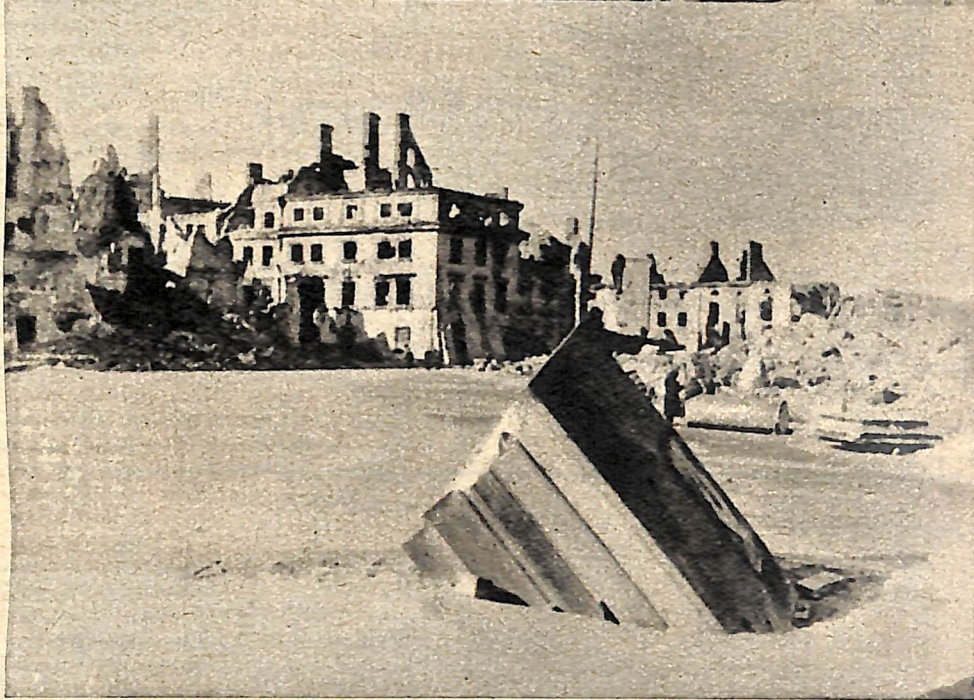
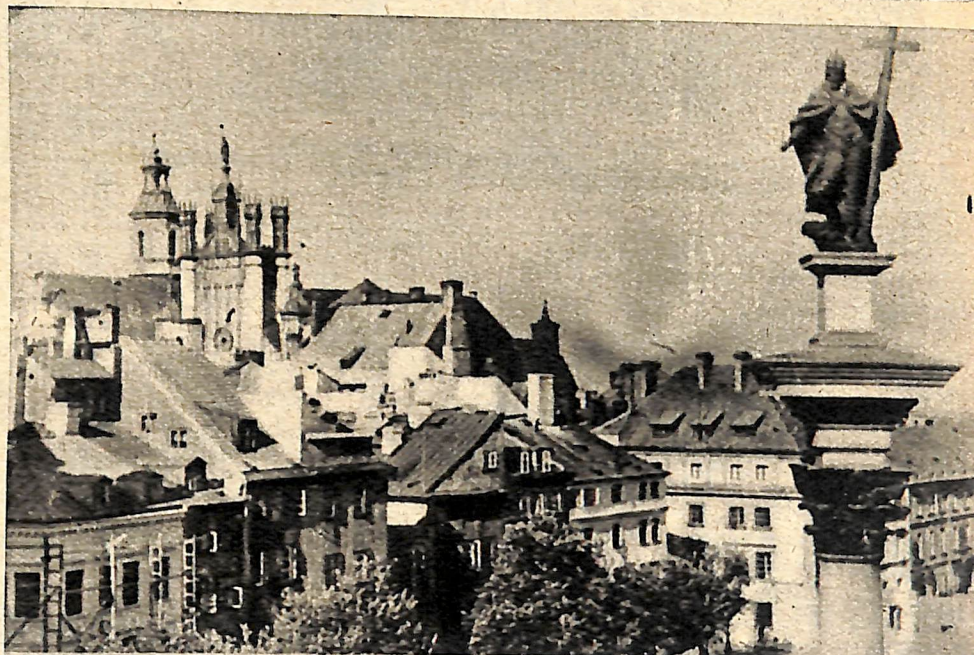
Bo Warszawa nosiła dalece odrębny charakter od innych miast i stolic. Warszawa to była dawna i nowa, czasów Zygmunto-wskich i Księstwa, Wysockiego i Okrzei, Kostrzewskiego i Oppmana — Polska. Miasto gorącego odczucia i żywej reakcji. Zuchwałych zrywów, kapryśnych sądów, nieskrępowanej fantazji i swobodnego humoru. Na nią mierzyło się kraj, na niej odczytywało się jego wzloty i upadki, nastroje, dążenia.

Rozdzieliliśmy się nią jak strzępkami relikwii, bezwartościowej i bezcennej. Strzępkami wspomnień. Zwarliśmy w nich jej odrębne oblicza, widziane różnie przez różnych. W powszednim dniu, w doznaniach najgłębszych i w bolesnym momencie jej opuszczenia.

Warszawa monumentalnych budowli i pomników... Średniowieczna Katedra św. Jana, skromnie odsunięta od miejskiego zgiełku, do której półmroku wchodziło się w nabożnym skupieniu, nieomal z lękiem. Kościół św. Aleksandra, odtwarzający londyńską Katedrę św. Pawła, kościół na Krakowskim z Chrystusem, uginającym się nad załoczonym chodnikiem pod brzemieniem żelaznego krzyża, gotyk ceglanych wież św. Floriana. Książę Józef stępa, w tozde senatora, jeżdżący nad Placem, Mickiewicz w roju gołębi, Kopernik zadumany nad globem, Stanisławski przed Operą, obnażony POW'iak, Saper z karabinem u nogi, strzegący Alei Niepodległości.

Kwadratowy rynek Starego Miasta. Średniowieczna ornamentyka, płowiejąca na dostojnych fasadach. Kamienica Baryczków i Fukier z sosnowymi ławami. Kręte, wąskie uliczki i kamienne schody. Zapiecki i Krzywe Koła. Oślizły bruk, prowadzący spadziście do Wisły. Do Wisły, w której przeglądało się warszawskie niebo, na której latem kładły się poztoty, a jesienią żeglowały mgły.

Latem Warszawa stroiła się załotnie. Mieniły się klomby i trawniki, balkony



Kolumna Zygmunta — pomnik, który był symbolem stolicy

Plac Trzech Krzyży — kościół św. Aleksandra



od pierwszego piętra do mansard zdobiły kwiaty, nawet latarnie — warszawski wynalazek — nosiły patery kwiatów. W Alejach sypał się pył z kasztanów, w Frascati pachniały azalie, w Botanicznym — akacje i jakieś ciepłarniane okazy. W Ogrodzie Saskim rozbił obóz tabor wózków dziecięcych. Szklanny pył rozproszkowanego stołca sypał się z fontanny.

A ulica kipiła od ciągłego ruchu. Elegancki, uprzejmy, gadatliwy ludź warszawski przesypywał się po chodnikach. Wytworni mężczyźni, piękne kobiety i pretensjonalne strojnisi z pinczerami w czapkach. Przed Dworcem Głównym ciżbiły się lśniące wozy i rozdzwonione tramwaje. W kawiarniach, gdzie z kawą łykało się ostatnie nowiny, odbywały się najmilsze spotkania. Ulica rozbrzmiewała krzykiem gazeciarzy, najsprytniejszych gazeciarzy świata, ofiarujących za dziesięć groszy kupę sensacyjnych wiadomości. Górował „Express Poranny” z nieodzownym felietonem Wiecha.

Wieczorami, gdy z praskiego skupiska szły na miasto pierwsze mroki, rzędy latarni Kościuszkowskiego Wybrzeża zapalały się we Wiśle świętojańskimi wiankami. Warszawa płonęła miliardem świateł. Rażony prądem elektrycznym, neon rozedrgał się konwulsyjnie w szklanych floresach i wypisał na granatowej ciemni nocy chwałbę firm. Zapamiętały się sklepy, teatry, kina. Warszawa rozpoczynała właściwie życie. Towarzyskich spotkań, kulturalnych zebrań, beztróskich zabaw.

Str. 3, 4 i 5: fot. Keystone
Str. 6 i 7: fot. J. Michalski
Str. 8: fot. Mary Mollo
Str. 9, 10 i 11: fot. inż. W. Ostrowski
Str. 12 i 13: fot. W. Rajkowski
Str. 14 i 15: fot. T. Szumański

Układ graficzny: JERZY MŁODNICKI

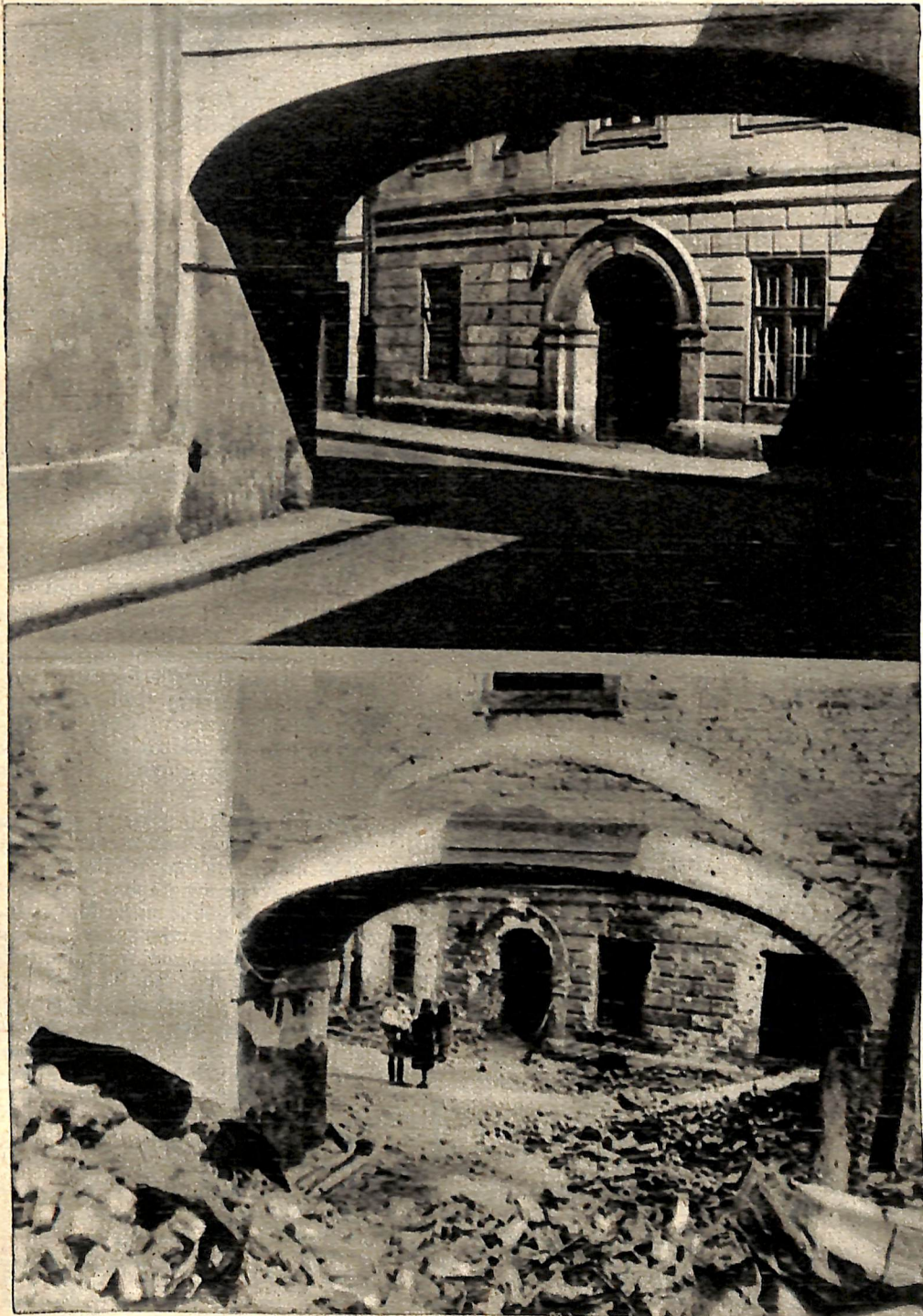


Fragment Ogrodu Saskiego z fontanną



Łazienki — pałac króla Stasia, architektura XVIII wieku

Stara Warszawa — widok na ulicę Świętojańską



Pałac Pod Blachą należał swego czasu do najpiękniejszych budowli Warszawy



Wracało się często z tych „spotkań” nad ranem, gdy po opustoszałym mieście jeździły furgony z mlekiem i pieczywem, człapała miarowo po jezdni pozostałość dawnych czasów — jednokonna dorożka.

W skwarnym okresie letnim, ci, którzy nie wyjechali na wyuczasy do mórz lub w góry, w niedziele tłumnie opuszczali miasto. Warszawa była opasana miejscowościami letniskowymi. Ludność z Mariensztatu, Starówki, sławetnego Kercelaka i przedmieść waliła na Bielany i do Młocin. Zapewniały się parami i rodzinami ogrody, skwery, parki. W Zoo podziwiano szczęśliwą Kasję z jej długotrąbą pociechą. W Luna Parku odbywały się huczne zabawy, ba, przedstawienia na wolnym powietrzu. Wysoko, po karkołomnie wygiętym torze, pędziła „kolejka górską”. W nocy strzelały ku niebu kolorowe race. Tu bawiła się co najprędniejsza publiczność, nadająca ton miastu.

W tygodniach grudniowych Warszawę ogarnęła gorączka przedświąteczna. Półki magazynów łamały się od towaru. Z witrzyn wzywały przechodniów rumiane szynki, wianki kiełbas i pękate butelki wódek. Zabawek, ozdóbek, świeczek — zatrzęsienie. Gdzieś płonęła reklama choinka, posypana śniegiem, osnuta złotem anielich włosów. Pod Żelazną Bramą piętrzyły się stosy powalonych drzewek, z których bił rześki chłód i zapach lasu. W straganach przekupki meły jezorami, paniusie szły obładowane piramidami paczek. Ież to było bieganiny, krzątanie, przygotowań, niespodzianek!

Tak było niegdyś! Do Września... Aż na domy i jezdnie spokojnego miasta padły potworne cienie warczących maszyn. Posypały się bomby. Legły w gruzy pierwsze domy, padły pierwsze ofiary. Warszawa schwyciła za broń! Dzielna, nieustraszona Warszawa nie zawiodła. Okrażona, bez pomocy, wbrew jakiegokolwiek nadziei, walczyła bohaterstwo do ostatnich możliwości. Trzy tygodnie nadludzkich zmagani. Sumienie odległego świata, niepokojone echem wybuchów i głosem ochryplego Prezydenta. Gruzy, barykady, ciała pod szutrowskiem, mogiły w skwerach i podwórzach. Śmierć, zniszczenie.

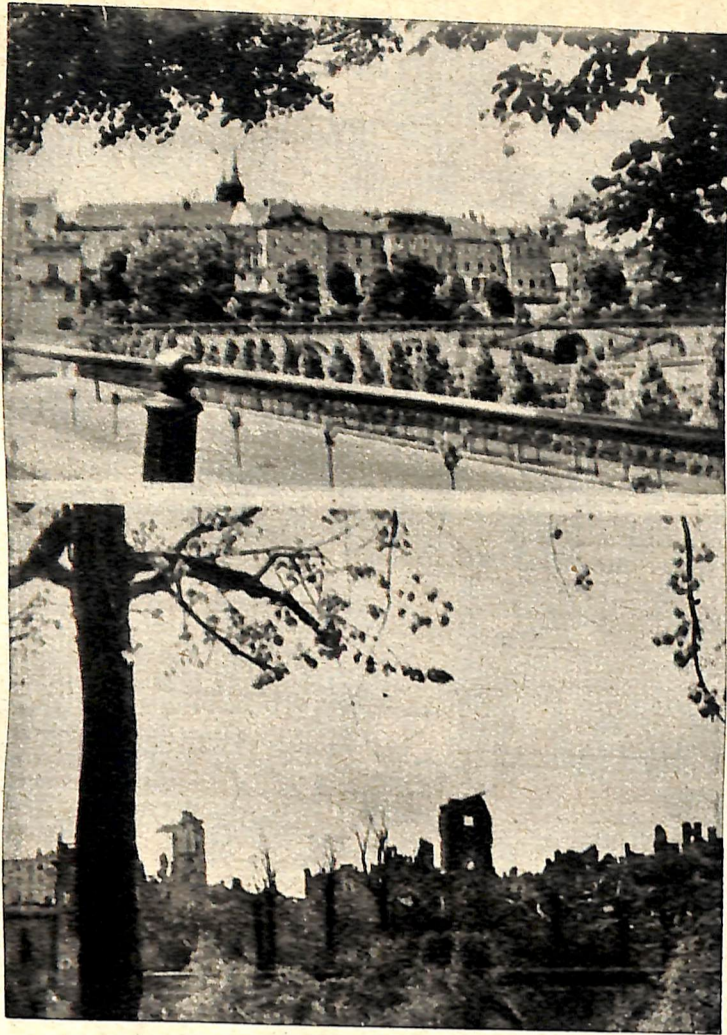
Nad okaleczonym miastem rozpostarła się noc. Przedługa noc łapanek, więzień, egzekucyj. Ciemne moce trzebiły wszystko, co polskie z ducha, wybiły najlepszych synów stolicy, niszczyły, grabiły najcenniejsze pamiątki. Warszawa nie uległa. Odpowiadała z podziemia, z konspiracji — walczyła. Odpowiadała aktami obrony i ostrzeżenia. Usilnie, bez ustanku przygotowywała się do walnej rozprawy.

Aż wybuchła zorganizowanym odwetem. Powstaniem. Znowu Warszawa dźwignęła wysoko sztandar Kraju, utwierdziła się w swojej wielkości. Stanała do nierównej walki żołnierz A. K. Nowe poświęcenia i bohaterstwa, nowa epopea bezprzykładnych zaciętości walk. Urosła liczba bezimiennych ofiar, dawne gruzy przysypały nowe. Od piekielnego ognia ginęły resztki pozostałej świetności miasta.

A Warszawa — cmentarzysko ruin — gorzała walką o Wolność. O Wolność, która się nie spełniła.

Siódmy rok bieży od chwili, gdy padły pierwsze pociski! Siódme Boże Narodzenie na ruinach stolicy. Potylekroć rodz się Bóg w niewolnej Warszawie.

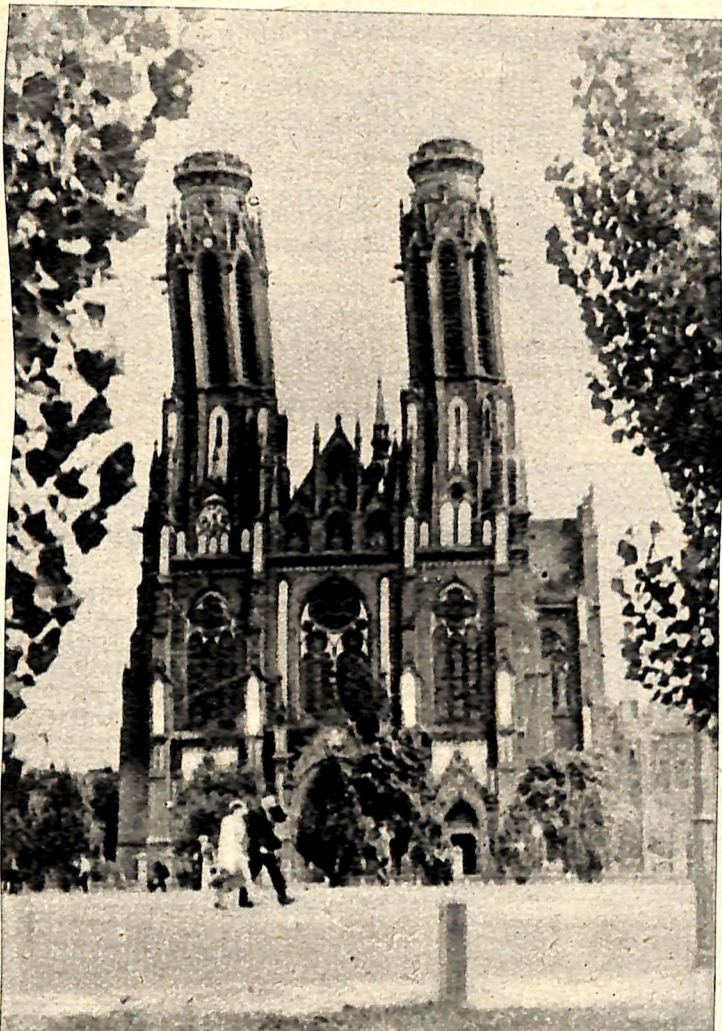
JAN KIELEWICZ



Zamek — siedziba królów i prezydentów



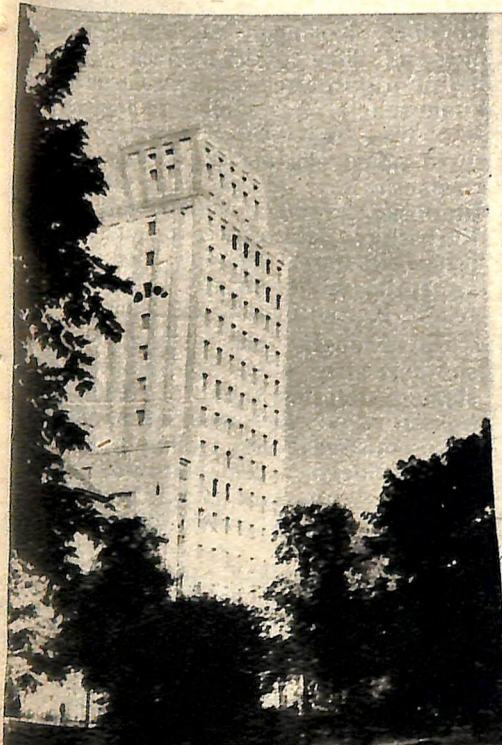
Plac Teatralny — Ratusz i Opera



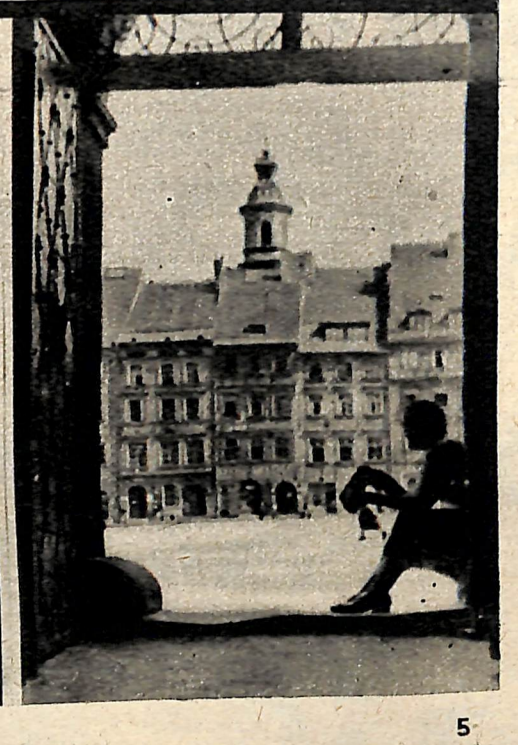
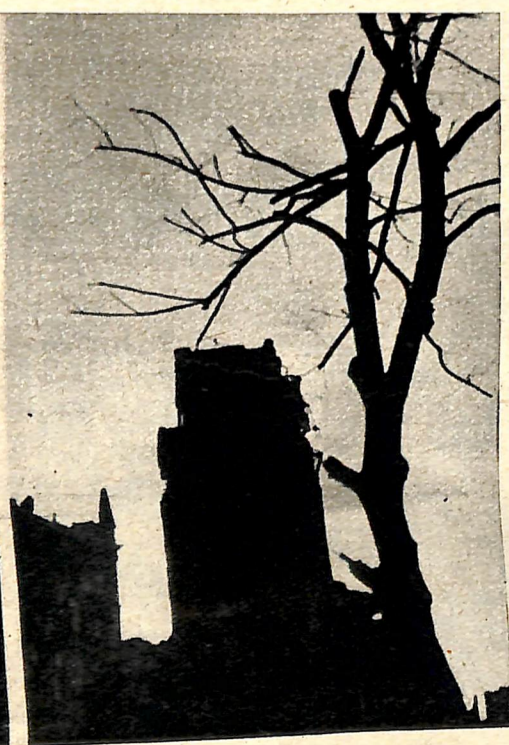
↑ Kościół św. Floriana wznosił nad Pragą ramiona gotyckich wież



↓ Stare Miasto — charakterystyczne budowle z XVI wieku

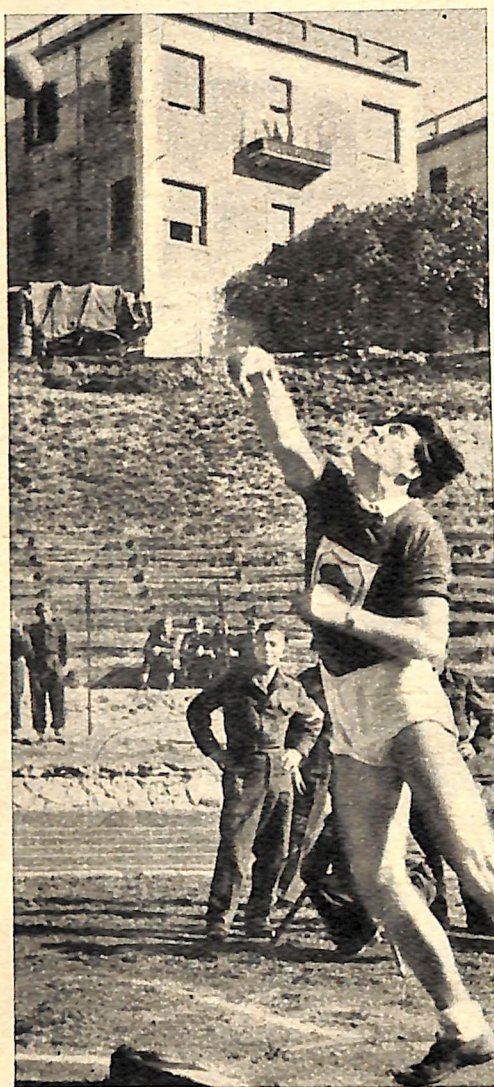


↓ 19-piętrowy „drapacz chmur” — dom tow. ubezpieczeń „Prudential”





Ponad 15 tysięcy widzów zapełniło trybuny stadionu



Pchnięcie kulę

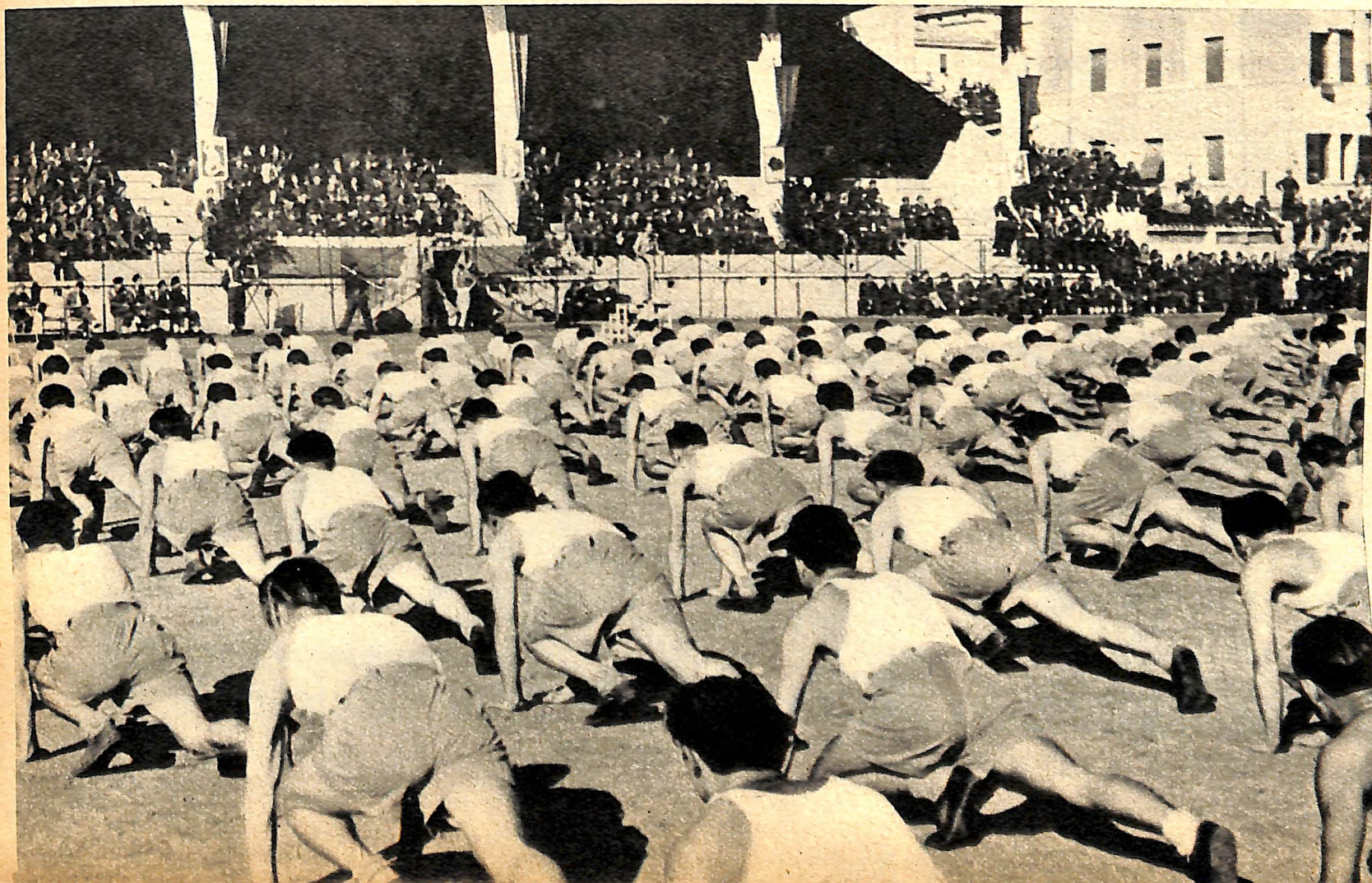


Defilada zawodników

Zołnierska Olimpiada

Korespondencja własna „Parady”

Popisy gimnastyczne



Igrzyska Sportowe, jakie odbyły się w Anconie z okazji zakończenia mistrzostw lekkoatletycznych 2 Korpusu, były prawdziwym żołnierskim świętem sportowym. Ponad 15.000 widzów wypełniło trybuny, udekorowanego flagami stadionu. Na Igrzyska przybył Dowódca Korpusu gen. Wł. Anders, generałowie, wyżsi oficerowie brytyjscy, amerykańscy i włoscy oraz wielu gości zagranicznych.

Otwarcia Igrzysk dokonał Dowódca Korpusu. Kilkanaście tysięcy ludzi wstało ze swych miejsc i w kompletnym ciszy, jaka zapanowała nagle na całym stadionie, generał Anders zapalił pod siebie pochodnię, wręczając ją z kolei ppor. Głowackiemu z 2 Warszawskiej Dywizji Pancerniej, który w Mistrzostwach osiągnął najlepszy czas (11,8 sek.) w biegu na 100 m. Przy dźwiękach Hymnu

rodowego przebiegł on następnie z pochodnią przez stadion, zapalając nią symboliczny znicz olimpijski, nad którym zatrzepotała na głównym maszcie biało-czerwona chorągiew, w otoczeniu flag: brytyjskiej, amerykańskiej, francuskiej i włoskiej.

Igrzyska rozpoczęła defilada zawodników. Przy dźwiękach „Warszawianki” przeszli przed Dowódcą Korpusu wszystkie zespoły i reprezentacje wielkich jednostek. Na czele szła barwna grupa ochotniczek i żołnierzy w strojach ludowych, która w programie Igrzysk miała odtańczyć szereg tańców.

Po defiladzie 300 uczniów karpackiego gimnazjum i liceum zaprezentowało bardzo efektowną gimnastykę zespołową, bezpośrednio po czym odbył się pokaz wojskowej gimnastyki z karabinem, w wykonaniu karpackiego batalionu saperów.

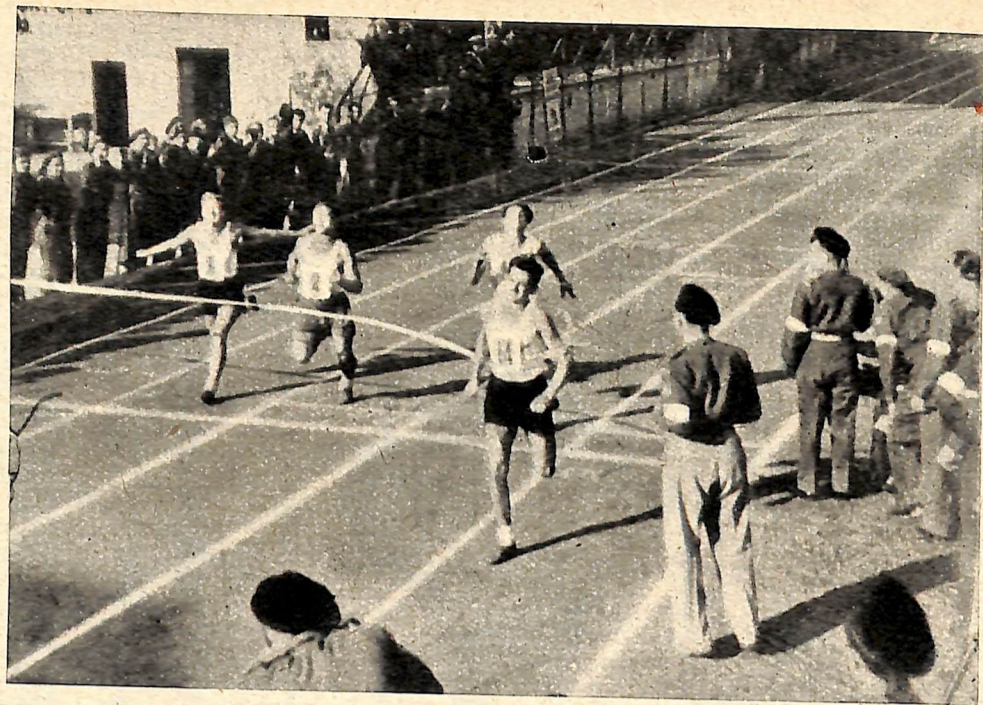
Do zawodów lekkoatletycznych, jakie odbyły się następnie, stanęli najlepsi zawodnicy Korpusu. W emocjonującym biegu na 100 m przecięli równocześnie taśmę ppor. Głowacki i mistrz Korpusu w tej konkurencji strz. Hojka z czasem 11,9 sek. Bieg na 1500 m wygrał po ciekawym pojedynku mistrz Korpusu na tym dystansie strz. Myszkowski. Sztafetę olimpijską wygrał pewnie zespół Dywizji Karpackiej. Jeśli chodzi o inne konkurencje, to warto wspomnieć o rzucie oszczepem, w którym kpr. Dyka poprawił rekord Korpusu na 42 m 22 cm.

Po zawodach lekkoatletycznych odbył się pokazowy mecz szczypiorniaka, następnie uczestnicy obozu treningowego bokserów, pod kierownictwem wielokrotnego mistrza Polski i olimpijczyka, por. Mokrzyckiego, zademonstrowali zaprawę bokerską, po czym nastąpił pokaz walki dżiu-dzitsu w wykonaniu obozu szkolnego żandarmerii.

Ostatnim numerem przedpołudniowego programu były 2 tańce ludowe, wykonane przez ochotniczki i uczniów karpackiego gimnazjum. Barwne kostiumy tańczących par, tworzące na środku dużego boiska żywy i kolorowy obrazek, oraz pełne swobody i temperamentu wykona-



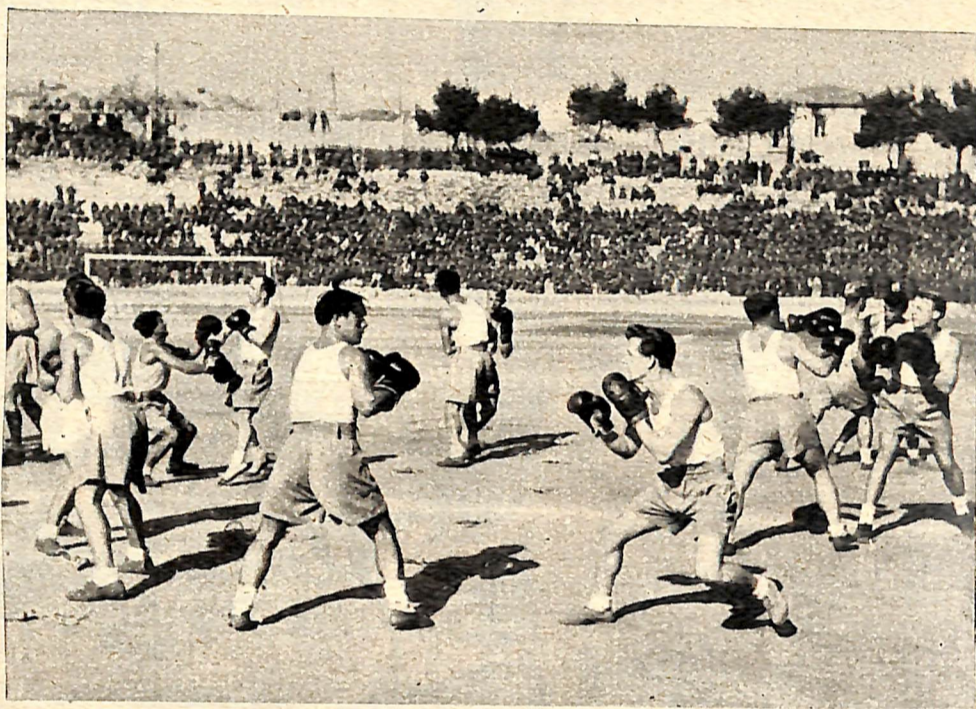
Dowódca 2 Korpusu gen. dyw. Władysław Anders przed frontem zawodników



Zwycięzcy przedbiegu na 100 metrów



Gimnastyka wojskowa



Pokaz zaprawy bokserskiej

nie tańców, przyjęte zostało przez kilku-nastotysięczną widownię potężnymi bramami.

Po jednogodzinnej przerwie obiadowej nastąpił najciekawszy i najbardziej emocjonujący punkt programu — finałowy mecz piłkarski o mistrzostwo 2 Korpusu między Dywizją Karpacką i Kresową. Wśród nieustannego dopingu widowni mecz wygrała po ostrej grze drużyna Dywizji Karpackiej w stosunku 2:0, zdobywając tym samym mistrzostwo w piłce nożnej na rok 1945.

Program zakończyły zawody pomiędzy 2 zespołami w przeciąganiu liny oraz tańce: polonez, trojak, krakowiak i mazur.

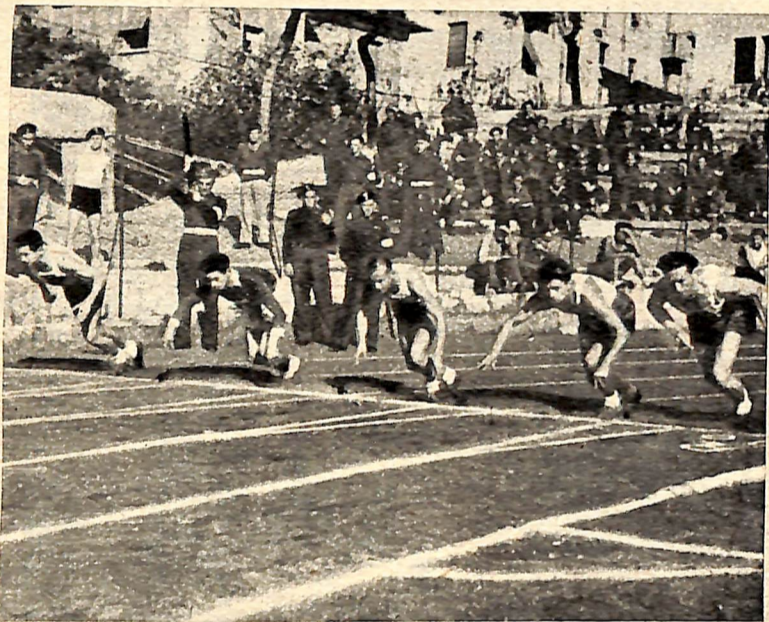
Po zakończeniu programu generał Wł. Anders dokonał osobiście wręczenia nagród indywidualnych i zespołowych zwycięskim zawodnikom i drużynom.

Igrzyska sportowe 2 Korpusu — ta żołnierska olimpiada, jak można by ją nazwać, była nie tylko doskonale udaną imprezą sportową, ale i świętem, manifestacją siły, zdrowia i tężyzny duchowej żołnierzy 2 Polskiego Korpusu. Podkreślił to zresztą generał Anders w swym przemówieniu, jakie wygłosił na zamknięcie Igrzysk, mówiąc m. in.:

„Nie pragnęliśmy na zawodach tych ustanawiać rekordów. Chcieliśmy pokazać i zadokumentować siłę i zdrowie, jakie żyją w sercach i mięśniach żołnierzy 2 Korpusu. Po 6 latach wojny, w czasie której przeżyliśmy wszyscy bardzo ciężkie chwile i rujnowaliśmy zdrowie nie tylko na polach bitew, ale w więzieniach i obozach, pokazaliśmy dziś znów, że Polak ma mięśnie ze stali i mocną pięść. Każde polskie serce wie, że Polak walczy zawsze do końca. I kiedy dziś na boisku obserwowaliśmy jak zawodnicy walczyli nawet o przedostatnie miejsce, to właśnie to daje nam poczucie własnej mocy!”

Okrzyk na cześć Rzeczypospolitej Polskiej, który Dowódca Korpusu wznosił po swym przemówieniu — powtórzony potężnym echem przez żołnierzy i Hymn Narodowy, który podchwytuje 15 tysięczna widownia i śpiewa pełną pierśią, mówią dobitnie o tej mocy, zamkniętej w sercach żołnierzy 2 Korpusu.

J. WEDOW

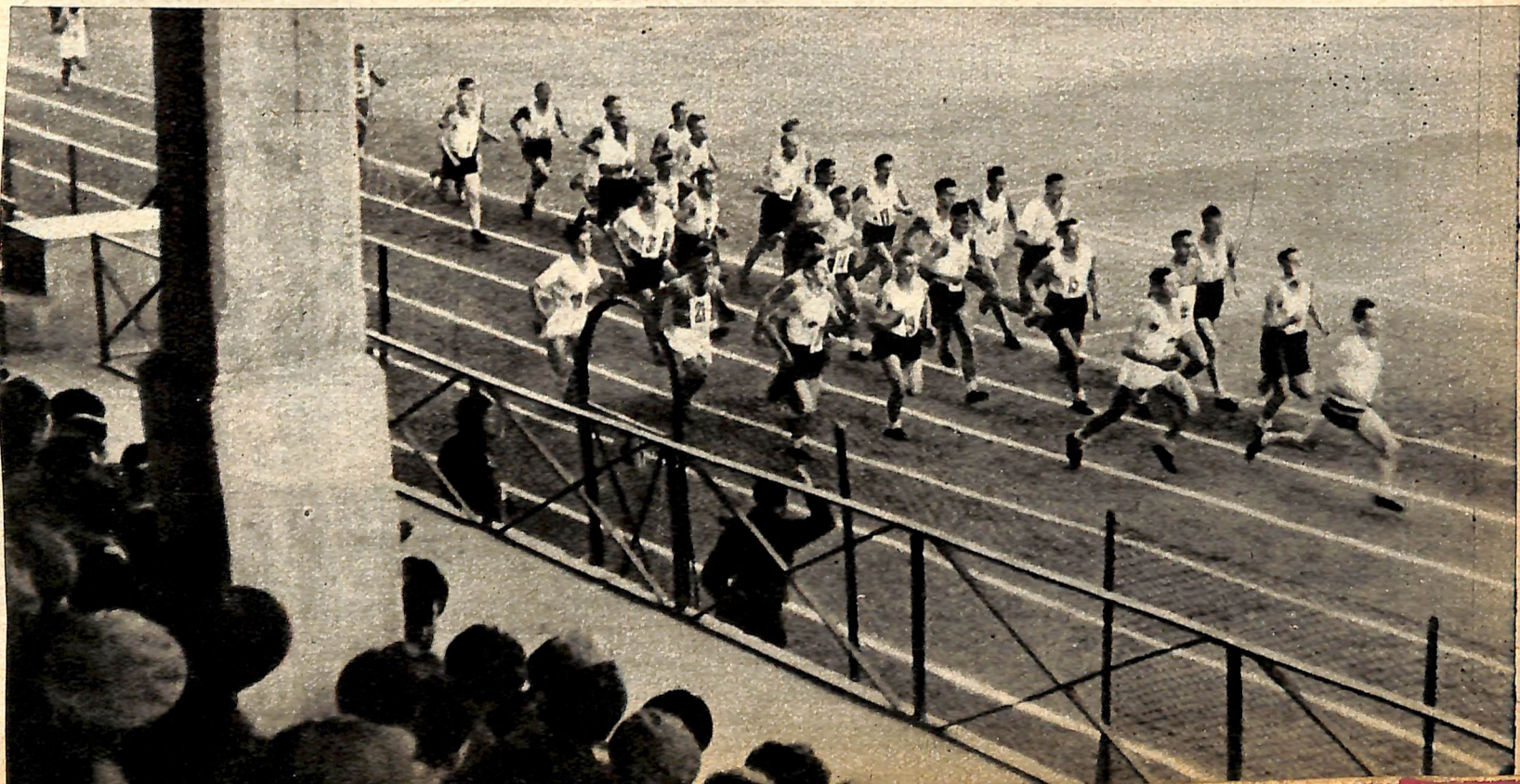


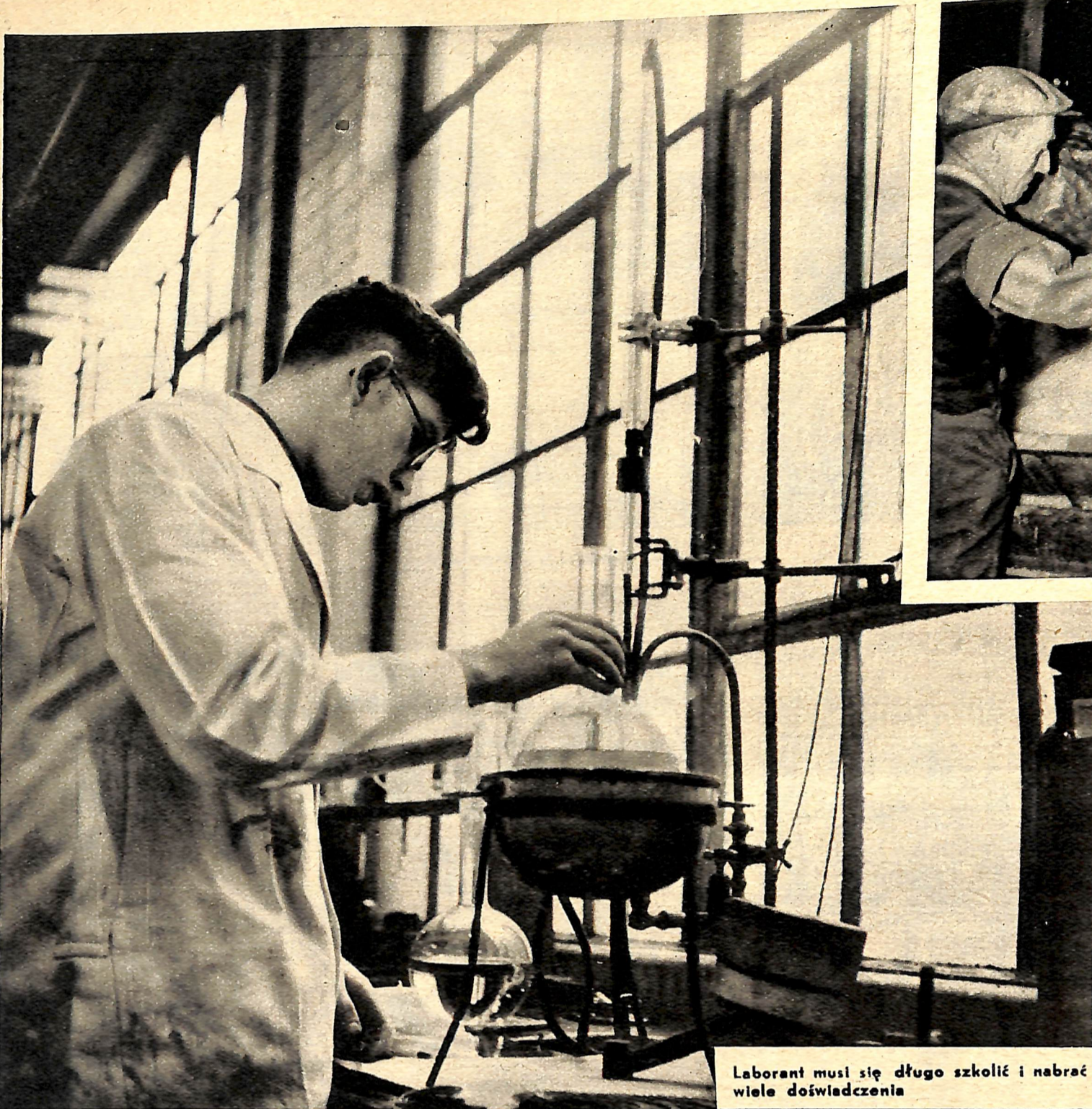
Na starcie 100 metrówki



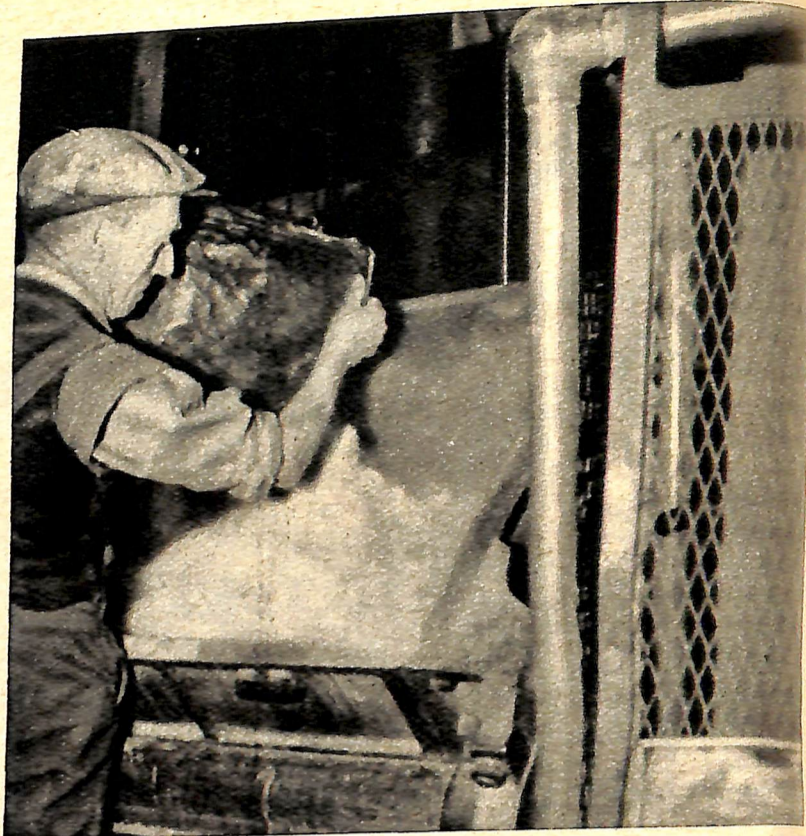
Skok o tyczce

↓ Pierwsze okrążenie biegu na 5,000 m





Laborant musi się długo szkolić i nabrać wiele doświadczenia



Mieszanie składników odbywa się mechanicznie. Pożądany kolor zyskuje się przez dodanie odpowiedniej ilości farby

PRODUKCJA MASY PLASTYCZNEJ

Sledząc w fabryce, jak z papieru i substancji smolistej wytwarza się masę plastyczną, utwierdzamy się w przekonaniu, że zastąpi ona wiele naturalnych surowców. Rozważania nad przemysłem materiałów plastycznych najlepiej rozpocząć od ustalenia, co pojmujemy przez to określenie. Dlatego najlepiej byłoby mówić: „syntetyczny przemysł plastyczny smolistego”, czym uniknęłoby się kojarzenia z innym przemysłem, np. metalurgicznym, który także posiada obszerny dział „plastyczny”. W czasie wojny przemysł plastyczny osiągnął wydatny rozwój przy zaopatrywaniu w przedmioty krótkotrwałej użyteczności. Tajemnica popytu tych wyrobów polega na tym, że plastik właściwie nie zastępuje żadnego metalu, lecz że występuje w takich odmianach, których właściwości nie posiada żaden naturalny surowiec.

Oglądany przez nas w fabryce blok „drzewa”, który powstał z papieru i substancji smolistej nie ma wprawdzie nic wspólnego z drzewem, które imituje, ale bije je „o głowę” pod względem przydatności. Jest to wyborny izolator, używany przy instalacjach elektrycznych. Do jego zasadniczych zalet dochodzą: połyskliwa gładkość, podobna jak u politurowanego drzewa, niezmierna lekkość i piękny wygląd. Aparat telefoniczny — zły przewodnik elektryczności, mocny, lżejszy niż metalowy, nie wymaga emaliowania itd. I dlatego produkuje się plastik — dla jego zalet, a nie dlatego że zastępuje inne, znajdujące się pod dostatkiem surowce.

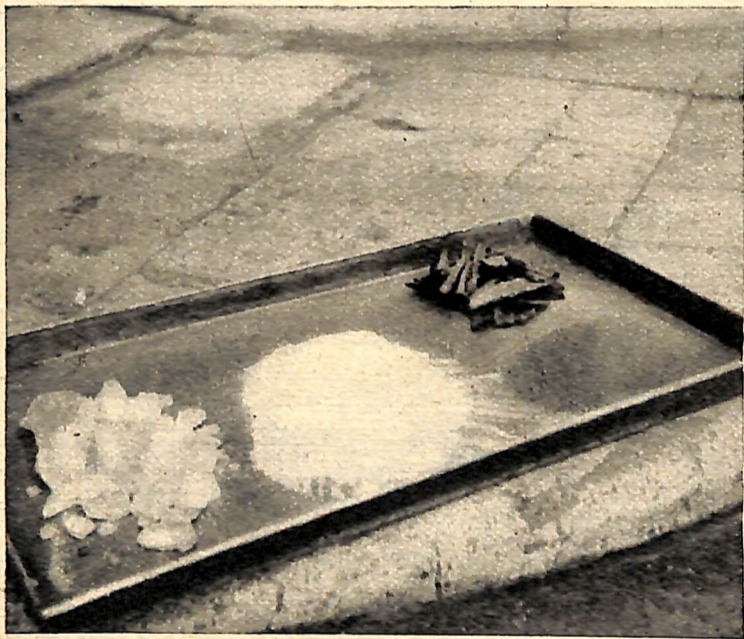
Produkcja plastiku rozpoczyna się w laboratorium chemika. Ten selekcjonuje składniki, ustala proporcje, opracowuje metodę uzyskania odpowiedniego wytworu. Zasadniczymi składnikami plastiku — to grupy fenolo-aldehydowe (fenol — kwas karbolowy; aldehyd — alcohol dehydrogenatum — spirytus drzewny), szczególnie używane przy produkcji bakelitu. Dla laika gros tych substancji chemicznych nie jest do rozpoznania z powodu ich złożonego składu, z wyjątkiem domieszek, takich jak bawełna, trociny (mąka drzewna), papier.

Fabryka powtarza udaną próbę Chemika na olbrzymią skalę. W De La Rue Plastics, którą zwiedziłem, mieszanka smolista i domieszki zostają starte na mączkę, potem — ukształtowane w formach przez poddanie temperaturze i ciśnieniu. Pokazywano mi dwa rodzaje produkcji: „termostatyczny”, w którym mieszanina zostaje poddana reakcji chemicznej, a wytworzony artykuł nie może już być przekształcony i — „termoplastyczny”, w którym mieszanina mechanicznie, nie bez udziału temperatury, zyskuje właściwości plastyczne. Istnieje także trzeci rodzaj — topny, w którym mieszanina zostaje w stanie ciekłym wlana do formy, gdzie krzepnie pod normalnym ciśnieniem.

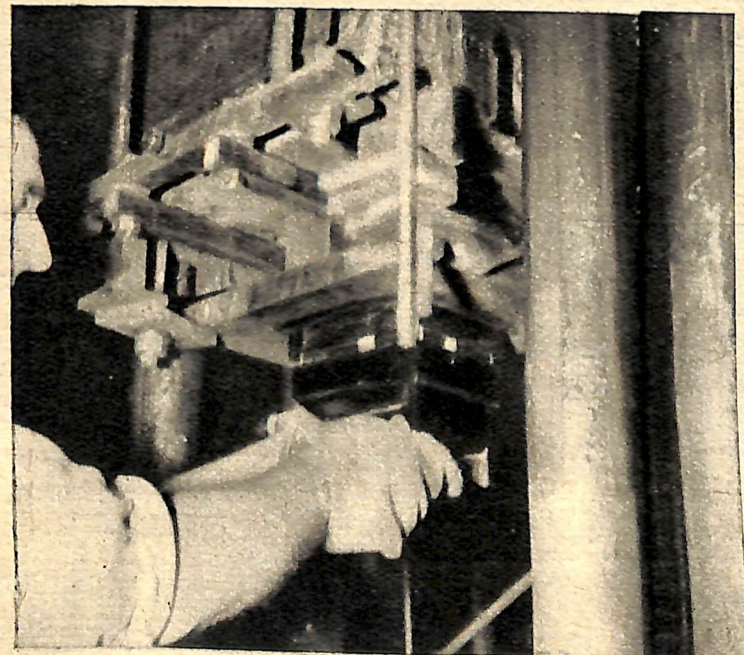
Z postępem przemysłu wypłynie na świat surowiec przyszłości — plastik.

David Flochert

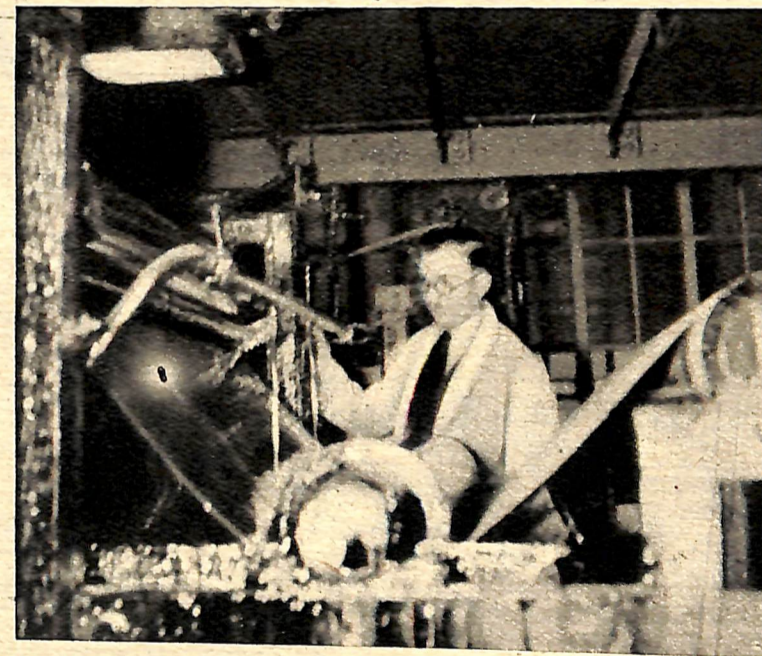
↓ Składniki plastiku, widzialne na stole chemika: kawałki żywicy, trociny (mączka drzewna) i płytki substancji chemicznej



↓ Prasa hydrauliczna, wywierająca ciśnienie 75 ton, służąca do wyrobu aparatów telefonicznych



↓ Metoda „termoplastyczna” — mieszanie papieru z odwarem smolistym



↓ Polerowanie masy plastycznej





Brunatny koloryt płaskowzgórza, chmury, chłodny wiatr... nastroiły nas „tybetańsko”

WIENIEC Z KIBO

OD SPECJALNEGO WYSLANNIKA „PARADY” -- TEKST I ZDJĘCIA: INŻ. WIKTOR OSTROWSKI

W dniu 27 października br., specjalny wysłannik „Parady”, inż. Wiktor Ostrowski, członek Polskiego Klubu Wysokogórskiego i uczestnik wypraw badawczych w Andy Argentyńskie i masyw Centralnego Kaukazu, w towarzystwie angielskiego korespondenta p. A. W. Parsonsa, wszedł na szczyt K i b o, będący najwyższym wierzchołkiem masywu Kilimandżaro w Tanganajce. Kibo liczy 5963 m nad poziomem morza i jest o 1145 m wyższy od najwyższego szczytu w Alpach — Mont Blanc. Jest to trzecie polskie wejście na ten szczyt. W zeszłym roku był na nim p. Jerzy Golcz, również członek Polskiego Klubu Wysokogórskiego. Pierwszym Polakiem, a jednocześnie w ogóle szóstym człowiekiem, który dotarł do szczytu, był w roku 1914 profesor Antoni Jakubski.

Niżej podajemy opis wyprawy inż. Wiktora Ostrowskiego.

Bill zaproponował: „Wiktor! Może spróbujemy?”



Słońce wisiło prostopadle nad głową, cień wstydliwie schował się pod naszymi stopami. Spalona na pieprz, spękana ziemia ziała po prostu żarem. Pokraczne, bezlistne — zato kolczaste — krzaki i drzewa buszu nie dawały żadnej osłony. Na niebie ani chmurki, defekt w samochodzie no i humory — naturalnie odpowiednio...

Przez pewien czas z utajoną nadzieją spoglądaliśmy na biały obłoczek uczeptiony horyzontu. Może wyrośnie w chmurę? Może nadejdzie i rzuci cień? Ale malusiénka plamka uparcie trzymała się horyzontu. Po chwili dopiero zrozumieliśmy: są to śniegi i lody na dalekim Kilimandżaro.

Wtedy Billowi zrodził się projekt: — Wiktor! może spróbujemy?...

Czy trzeba przyznawać się, że dwa razy proponować mi tego nie trzeba było. Szybka, ale bardzo „przybliżona” kalkulacja: ile czasu nam to zajmie — dojazd, podejście, samo „wejście”, zejście itd. Mniej jak tydzień — ani myśleć! Prócz tego, gdzieś tam wewnątrz człowieka, zakiełkowała niepewność, myśl przykra, bolesna: blisko 6.000 metrów wysokości! Czy aby... po tyfusie, po skorbutach, po wszystkich tych latach... czy serce, co kiedyś... ale teraz? Czy da radę?...

Trzeba dużo, bardzo dużo po górach

pochodzić, i trzeba góry kochać, by zrozumieć bolesność takiej myśli...

Na razie jednak czasu nie mamy. Jedziemy na południe Tanganajki, do naszych osiedli. Może w drodze powrotnej.

Projekt rzucony raz — puścił głęboko korzenie. Nasi przygodni towarzysze nieraz musieli chyba dziwić się nagłym skokom w rozmowach:

— Bill! ile spodni masz?

— Dwie pary, ale prócz tego i dwie piżamy...

— No to chyba nie zmarzniesz. A skarpetek?

— Trzy pary.

— Od biedy jedną parę włożysz na ręce...

Współtowarzysze spoglądali na nas ze zdziwieniem i zamieniali między sobą znaczące spojrzenia. A nam po prostu to Kilimandżaro z głowy nie wyłaziło i kalkulowaliśmy... stan posiadania naszej odzieży. Wszak jeżdżąc po Afryce tropikalnej nie wozisz ze sobą rękawic, ciepłej bielizny i takiegoż ubrania (powiedzmy — wysokogórskiego), potrzebnego jednak na wysokości 6.000 metrów, w lodach...

Nasze „środki ekwipunkowe” były więcej niż skromne, nawet... ani jednego gwoźdźnia w butach! Ale, powiadam, projekt puścił głęboko korzenie i... spróbowaliśmy.

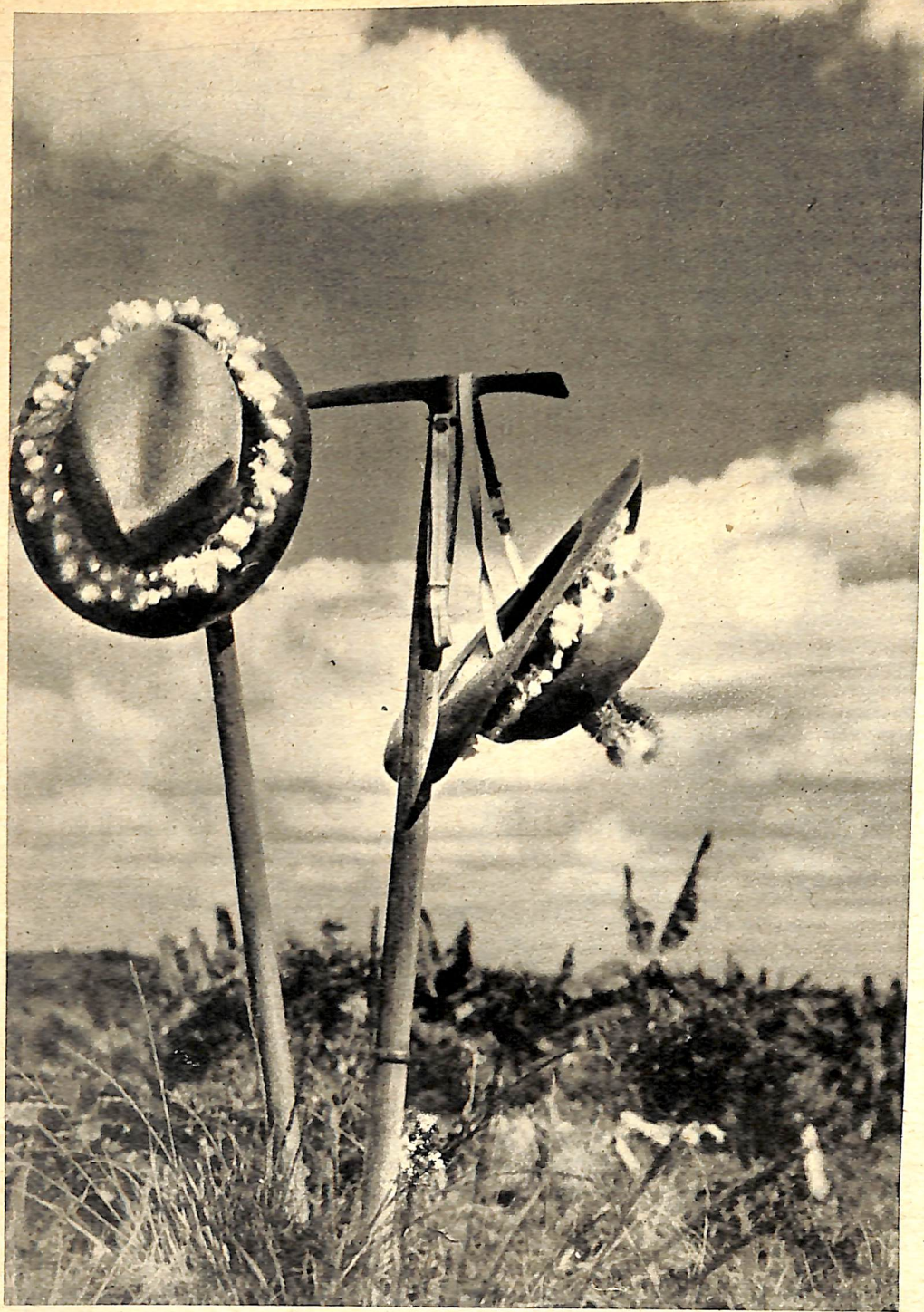
W hotelu „Kibo”, niedaleko Mochy, zorganizowaliśmy nasze „Safari”. Trzeba wiedzieć, że biały człowiek podróżuje po Afryce w dość specyficznych warunkach. Na góry wspinają się — również. Otóż mieliśmy: kucharza, pięciu tragarzy i... wyobrażam sobie jak kpić będą moi koledzy z Klubu Wysokogórskiego!... mieliśmy „przewodnika”. Był naturalnie Murzynem, nazywał się Johanne, nie mówił żadnym językiem prócz jakiegoś tubylczego narzecza i w szerokim uśmiechu pokazywał wspaniałe zęby. Porozumiewaliśmy się doskonale na migi.

Wspomnę przy sposobności, że Johanne (miał z nami dojść do samego szczytu) był znacznie lepiej od nas wyekwipowany wysokogórsko. Ze szczególną zazdrością spoglądałem na jego podkute buty. Przychodziło mi to tym łatwiej, że przez pierwsze trzy dni podchodzenia widziałem te buty na... jego głowie! Z dumą nosił je tak „wysoko” i dopiero włożył ostatniego dnia, przed lodowcem. Takie są już widać zwyczaje murzyńskich przewodników górskich...

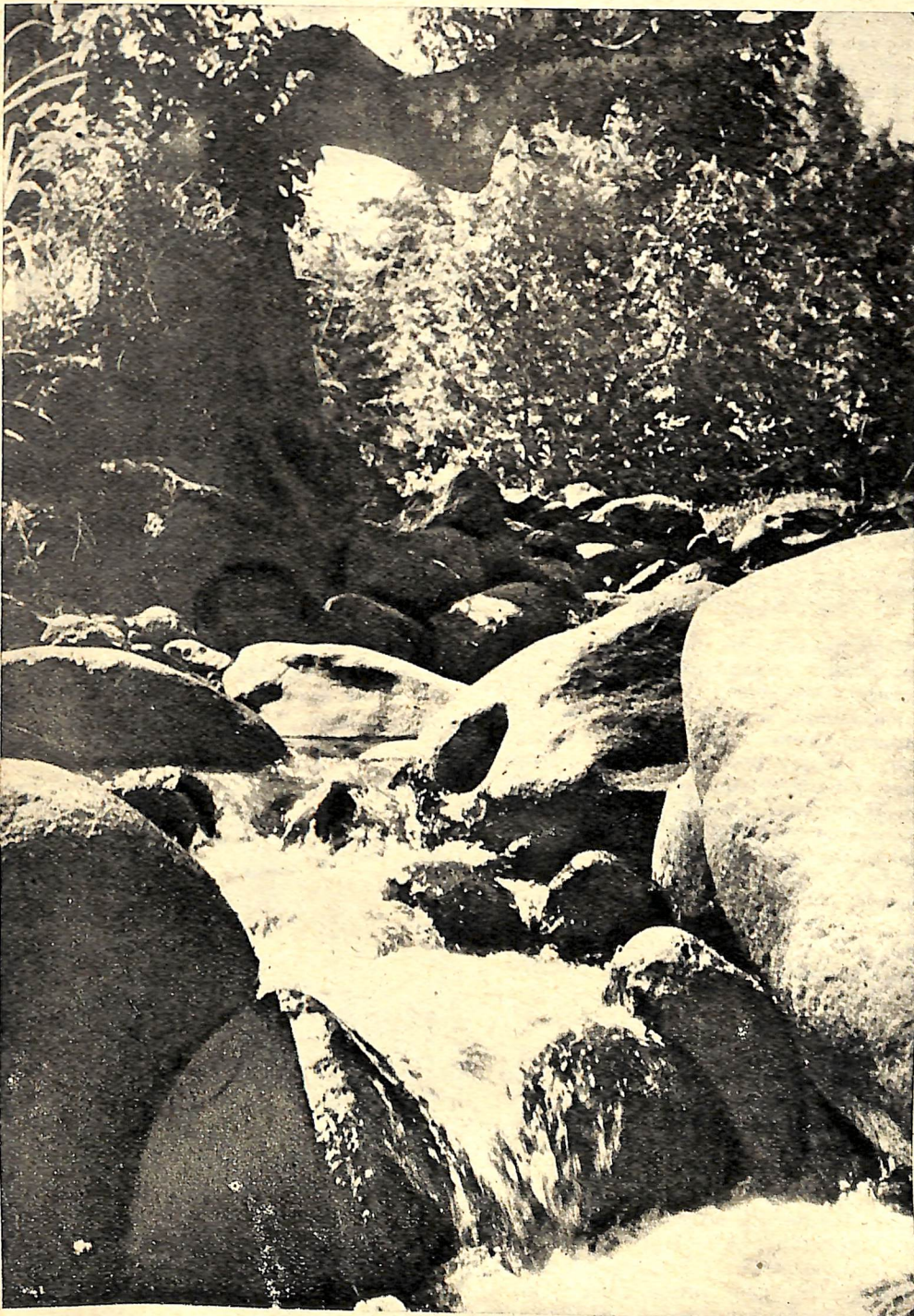
Przez cały pierwszy dzień szliśmy lasem. I to jakim lasem! Nawet posprzeżiałem się na jego temat z Billem. On twierdził, że to „las”, bo w opisach afrykańskich nigdy nie spotykał słowa

Gdy zobaczyłem z bliska szczyt Kibo — zrobiło się przykro...





Ustrolili nam kapelusze „Wleńcami z Kibo” ↑
↓ Potoki w dżungli zasilają lodowce Kibo



„dżungla” — ja twierdziłem, że mniejszą wartość ma słownictwo opisów skoro przecież sami idziemy przez prawdziwą... dżunglę!

Wędrowaliśmy w jakimś bajecznym, zielonym parku. Na prawo, na lewo, zwarta ściana gąszczu spletanego lianami, jakimiś pnączami, tajemnicza i niedostępna. Zielone sklepienie zamykało się nad nami. Słoneczne promienie z trudem przebijały się przez niego i rzucały rzadkie, migotliwe plamy. Z gałęzi olbrzymów zwisały jakieś bajeczne, zielono-srebrzyste brody mchu. Pachniało wilgocią, chodziło coś tajemniczego po gąszczu, szurzało pod nogami. Przedzieraliśmy się tak ładnych dwadzieścia parę kilometrów.

Nocowaliśmy w chatce Klubu Górskiego. Miała wdzięczną nazwę: „Bismarck Hut”! Zaraziłem się widać tolerancją od Anglików, bo, mimo obrzydliwej nazwy — spałem w niej doskonale.

Następny dzień — znowu las — dżungla, a potem wędrowka przez krzaki. Coraz niższe, coraz radsze, aż przechodzące wreszcie w alpejskie łąki. Wysoko już było.

Kto nie zna alpejskich łąk, nie podziwiał bogactwa ich kwietnego kobierca, nie wędrował pachnącym zieliskiem sięgającym czasami powyżej ramion — ten nie potrafi zrozumieć naszych zachwyty. Przez tę bajeczną krainę szliśmy znów parędziesiąt kilometrów.

By nie nudzić Czytelnika wyliczaniem naszego „kilometrażu” — powiem odrazu, że w tej wojnie człek „zmotoryzował się”, czyli po prostu — odczytał się chodzić. No i ten drobny szczegółik, że „droga” bynajmniej nie była „równinna” a kończyła się na wysokości blisko... 6.000 metrów!

Drugą noc spędziliśmy na wysokości 16.500 stóp, co po przeliczeniu na metry daje 4.000 z ogonkiem, a w efekcie namacalnym... zamroziło nam nocą wodę w pobliskim strumieniu. Murzyni-tragarze marzli i malowniczo zawijali się w koce, ale nasz „przewodnik”, onże szczęśliwy posiadacz jedynej pary podkutych butów — furt wędrował na bosaka.

Trzeci dzień wędrowki — dalej stępem alpejskim, upięknionym gdzieś indziej dziwną rośliną — drzewem „senecio”. Kaktus — nie katus, palma — nie palma, a na czubku coś w rodzaju rozwiniętej głowy kapusty. Wysokie to na parę metrów i pień gruby a mocny. Botanikiem niestety nie jestem, więc tylko fotografuję.

Z siodła-przełęczy odkrywa się wreszcie pełny widok na najwyższy szczyt masywu Kilimandżaro — Kibo.

Spojrzałem i... zrobiło mi się cholernie przykro. Na taki szczyt — w swoim życiu „wysokogórskim” jeszcze nie włąziłem. Obły stożek wygasłego wulkanu. W miarę stromy, ale taki... nie do wspinania się, a do wchodzenia na nogach. Ścięty szczyt-krater. No i dopiero tam lód. Błyszcząca czapa spęła z jednej strony (pd. zach.: na wysokość 14.700 stóp, z drugiej — zaledwie 17.800 stóp.

Określiłem tego olbrzyma krótko, lapidarnie i wcale nie poetycko: krowal. Przyjrzawszy się jednak dokładnie zbocz — zaniepokoiłem Billa prorocstwem, że właśnie tam będzie nasza „Kalwaria”.

Do podnóża stożka Kibo wędrowaliśmy płaskim, wulkanicznym plateau, dzielącym Kibo od drugiego, znacznie niższego, ale zato bardziej malowniczego szczytu masywu Kilimandżaro — Mawenzi.

Plateau równiutko zasypane zbitym popiołem wulkanicznym. Brunatno-czerwony kolor całego krajobrazu, pustynia upstrzona miejscami czarnymi głazami które kiedyś, przed swoją śmiercią, Kibo rzucał wypluć, wysokość, którą nawiasem mówiąc, już zaczęliśmy zlekka odczuwać (byliśmy wszak powyżej... wierzchołka Mont Blanc’u!), wszystko to nastroiło mnie, że tak powiem, „tybetańsko”. Wrażenie potęgowały chmury, dziwacznymi mgłami wlokące się naokoło, i sznur zmarzniętych tragarzy. Nieśli na głowie już nie tylko bagaż, ale i wodę, i drzewo. Dalej była tylko skała i popiół wulkanu.

Zanocowaliśmy u samego podnóża stożka szczytowego w dziwacznej budce-schronisku tegoż Klubu Wysokogórskiego. Parę prycz, metalowy piecyk no i... książka z nazwiskami tych, co szczęśliwie dotarli do szczytu, lub... niestety nie zawrócili ze zbocza.

W tym miejscu muszę zaznaczyć, że aczkolwiek amatorów wejścia na Kibo jest dużo (Najwyższy szczyt Afryki, panie tegolli!), ale są nawet tacy, co za-

wracają już... z miejsca naszego drugiego noclegu! Są tacy, co rezygnują właśnie w tej „Kibo Hut”, część daje za wygraną na zbocz szczytowym, znacznie mniej dociera do brzegu krateru, do tak zwanego Gilmans Point, a już zupełnie niewiele jest takich, którymby się chciało („chcieć” na tej wysokości to duża rzecz) okrążyć krater jego brzegiem (około 3-ch kilometrów) i jeszcze wejść na sam „naj, naj, najwyższy” czubek, co ma dźwięczną — a jakże „miłą” uchu polskiemu nazwę — „Kaiser Wilhelm Spitze”.

Póki nasz kucharz, o złowieszco brzmiącym imieniu — Fatali, walczył z dymiącym piecykiem i pitrasił coś lekkiego, (apetytu na tej wysokości absolutnie niema!) — znalazłem w tej książce niezrozumiały dopisek:

— Jakie szczęście, że zaczyna się wspinać w nocy! Gdybym za dnia widział tę „drogę”, ten „scree”... za żadne skarby świata nie skusiłbym się próbować wejść!...

„Scree”? Co to jest? Moja znajomość angielskiego nie obejmowała tego słowa. Mój przyjaciel, rodowity Anglik,

Podchodziliśmy cudownymi łąkami alpejskimi

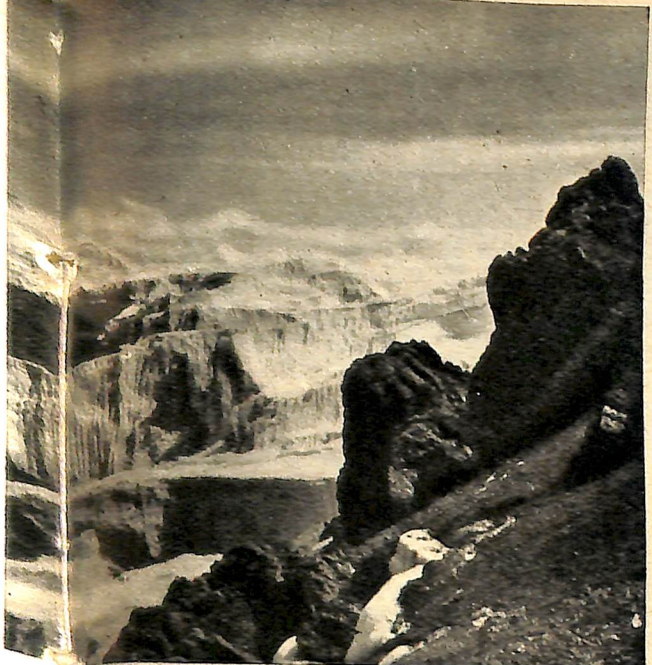


Zasypane popiołem wulkanicznym plateau „wyplute” kiedyś przez Kibo glazy



...drzewo — nie-drzewo, kaktus — nie-kaktus, czubku tam





Głęboko krateru Kibo wypełniały cielska umarłych lodowców

również nie wiedział, ale co to jest w rzeczywistości — mieliśmy możliwość dowiedzieć się jeszcze tej nocy.

Trudno mówić o spaniu na tej wysokości. Aklimatyzacji wszak nie mieliśmy. Było zresztą bardzo chłodno nawet mimo otulania się kołdrami z małych skór, które nasi dzielni tragarze na łepetynach swoich donieśli.

Wyruszyliśmy o godzinie 2-giej w nocy. Przewodnik, Bill i ja. Tragarze zwinęci w dziwaczny kłębek grzali się własnym ciepłem i dziurawymi kocami. Księżycowa noc była tak widna, że postacie nasze rzuciły ostry cień. Mróz był solidny. Na oko okrzepł — 15—20 stopni. Na sobie mieliśmy... wszystkie piżamy, koszule i spodnie. Te ostatnie, niestety, tylko płócienne. Tam daleko w dole, jeszcze w hotelu, udało się nam zresztą zdobyć skórzane rękawice i ciepłe czapy chroniące uszy. Głupio wszak byłoby odmrozić sobie te części ciała w... Afryce Tropikalnej!

Mimo jednak tak „solidnego” ubrania — zęby dzwoniły nam co się zowie. Rozgrzać się szybkim marszem? Łatwo powiedzieć! Serce gwałtownie protestowało przeciwko każdemu szybszemu ruchowi! Wysokość 5 — 6 tysięcy metrów oznacza: bardzo rozrzedzone powietrze a przede wszystkim brak tlenu! Wlekliśmy się!

I wreszcie zobaczyłem, a raczej wymaciałem nogami ten tajemniczy „scree”! Był to głęboki i diabelsko sypki popiół wulkaniczny.

Chodziłeś, Czytelniku, po sypkim, głębokim piasku? I nogi Ci się nie zapadały do kostek? A teraz wyobraź sobie, że ten piasek jest taki stromy, że sypie się ze zbocza, a wszystko to dzieje się na wysokości pomiędzy 5-cioma a 6-cioma tysiącami metrów. I to właśnie jest owe „scree”...

Nie będę opisywał tej części drogi. Zresztą, o czym tu pisać? O tym cholernym zmęczeniu, o tej Kalwarii? Serce



z szczytu taka kapusta... 10 metrów wysokie „senecio”

właziło gdzieś w gardło, w oczach latały czerwone płachty. Czy napisać, że rzygaliśmy ze zmęczenia? Brzmi to trywialnie i wcale nie efektownie. Było jednak prawdą i nie wstydzę się do tego przyznać. Tak samo prawdą — jak i to, że mimo wszystko szliśmy wyżej i wyżej. Przeklęty „scree” kłamał w duszę — głośno nie, bo niepotrzebny wysiłek, i z niepokojem wsłuchiwałem się w szalone kołatanie serca. Wytrzyma maszyna?...

W płóciennych ubraniach (mimo piżam i szeregu koszul) zmarzliśmy tak, że dosłownie gotów byłem modlić się do pierwszych promieni słońca. Ukazało się nam jak... doszliśmy do brzegu krateru, na Gilmans Point. Nie wiem, czy ze złości na ten „scree”, czy ze względu na upór, ale weszliśmy na Kibo w... rekordowym czasie. Nie 6, czy 8, czy nawet 10 godzin jak „stoją” w książce, a w 4 godziny i 15 minut!

A potem okrążyliśmy krater. Szliśmy zaczarowanym światem zamarych lodowców, w oślepiającym, zielonkawym blasku wśród dziwotagów przyrody górskiej — „stalagmitów” lodowych, tak zwanych „nieve penitentes”, co kiedyś w dalekich Andach Argentyńskich podziwiałem, a które tylko tym dane jest oglądać — co zajądą w górach bardzo wysoko.

Był to groźny i martwy świat, tak jednak mi bliski i kochany. Stałem się jak gdyby młodszy o kilka czy też więcej lat, odżyły stare wspomnienia. Nawet mróz jakby mniej dokuczał — choć jeden aparat zamarzał na fest i odmówił posłuszeństwa. Na dnie krateru stały kolosalne „trupy” lodowców, poeci powiedzieliby — zamczyska, prozaicy — „bochny chleba” lub „kawałki tortu”, ale takie... pareset metrów długie, na kilkadziesiąt wysokie. Naokoło nich — brunatna lawa. Gorące gazy ze szczelin uśpionego wulkanu, tak zwane „fumeroles”, wytopiły lód naokoło. Przed zrobieniem zdjęcia muszę odczekać parę minut, by serce do porządku doprowadzić i zwalczyć drżenie rąk...

O godzinie 9 stanęliśmy na tym sławetnym czubku „Kaisera Wilhelma”. Nic nadzwyczajnego. Oł wyższy o parę metrów! Ale był naszym celem! Szczyt! Stała się rzecz niesłychana we współczesnej Afryce: przewodnik-Murzyn wyciągnął do mnie rękę! I znów — rzecz niezwykła — z przyjemnością i serdecznie tę czarną rękę uściskałem! Szczyt!

Co czułem na szczycie? Czy zachwycałem się widokiem, czy byłem dumny z wejścia na niego? Nic podobnego. Byłem kiedyś na szczytach znacznie wyższych i wspinałem się na góry co kształtem swoim cud katedr gotyckich przypominały... nie taką... „krowę”! Ale teraz byłem szczęśliwy. Egoistycznie, samolubnie, ale szczęśliwy! Serce mimo tych tam tyfusów, szkorbutku i lat ciężkich nie nawaliło, wytrzymał! Będę jeszcze góry zdobywał! Piękny był dzień...

W dwa dni później, na dole, zgotowano nam owacje. Z kwiatów łąk alpejskich tragarze-Murzyni uwili wieniec i kapelusze nasze przystroili. Jest to piękny zwyczaj miejscowych szczepów: ten co dotarł do szczytu Kibo — schodzi w doliny kwiatami ustrojony, niesie na głowie „Wieniec Kibo”...

A schodząc łąkami i po przez mrok dzungli myślałem o... pierwszym Polaku co lat trzydzieści temu do szczytu dotarł, o profesorze Antonim Jakubskim. Ustanowił on wtedy, na Kibo właśnie, polski rekord wysokości. I przypomniałem sobie jak to po powrocie z And, po pobiciu tego rekordu o przeszło 1.000 metrów, miałem odczyt na Uniwersytecie w Poznaniu. A w pierwszym rzędzie siedział wtedy profesor Jakubski i do Niego mówiłem...

Nie wiem, czy za czasów Jego wejścia był już zwyczaj „Wienca Kibo”, czy on wtedy wracał w doliny ustrojony, ale wiem o innym „szczycie” przez Niego zdobytym. Wiem, że po długich latach pobytu w niemieckich obozach koncentracyjnych, po całym koszmarze tej katorgi przyszedł do nas. Nie złamany, nie zmęczony i łaknący „odżycia” a młody jak zawsze duchem, pełen zapału i energii. I natychmiast zaczął rozglądać się za polem do pracy!

To jest „Szczyt”! Wyższy nieskończenie od Kibo, i trudniejszy stokrotnie.

A „Wieniec z Kibo” przechowuję pieczołowicie. I wiozę daleko, by... pozwolił Pan, Drogi Panie Profesorze... by wręczyć Panu. I jako wspomnienie z dawnych lat, i jako „Wieniec Kibo” za szczyt, za „rekord”... trudny do pobicia...



Stalagmity lodowe — spotyka się je tylko w Andach, na Pamirze i... na szczycie Kibo ↓ Szliśmy w cieniu zielonkawych lodowców...



MECZET AL-AZHAR

TWIERDZA ISLAMU

WITOLD RAJKOWSKI

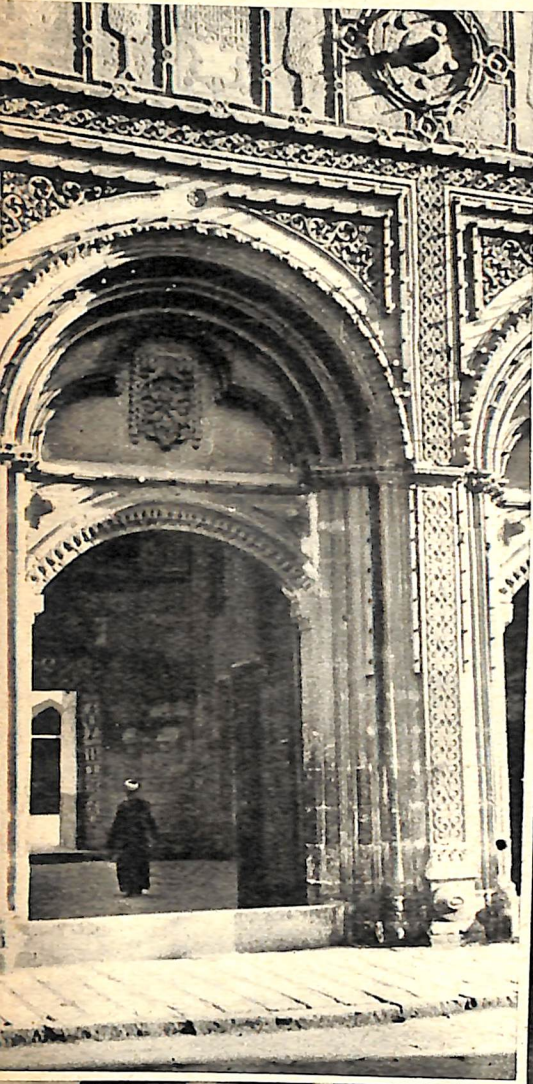


Kopuła i minarety meczetu Al-Azhar

Wśród instytucji, jakie się znajdują w Kairze i czynią z tego miasta prawdziwe centrum i serce świata arabskiego, a nawet islamskiego Wschodu w ogóle, na pierwszym miejscu trzeba wymienić Meczet Al-Azhar, siedzibę największej obecnie uczelni religijnej muzułmańskiej.

Meczet Al-Azhar — „Kwitnący” — został wybudowany w roku 973 przez Gohara (właściwie Dżauhara), zdobywcę Egiptu, wodza wojsk fatymidzkiego kalifa Moizza, założyciela „Zwycięskiej” Al-Kahira. Niezwykły ten człowiek, którego pełne imię brzmiało Dżauhar Ibn Al-Husain Al-Katib As-Sykylli, był właściwie niewolnikiem swego władcy, co — zgodnie z panującymi na Wschodzie stosunkami — nie przeszkadzało bynajmniej pełnieniu wysokich godności. Nie tylko jednak był wodzem fatymidzkich hufców, ale także poetą, uczyonym i — świętym... Jak mówi jego imię, urodził się na Sycylii, czy też tylko stamtąd został przywieziony na dwór Fatymidów, z po-

↳ Misterne płaskorzeźby zdobią główną bramę meczetu Al-Azhar



chodzenia bowiem był przypuszczalnie Słowianinem.

Gami Al-Azhar początkowo był tylko miejscem modłów, ale już w roku 998 kalif Al-Aziz uczynił zeń siedzibę uczelni religijnej i rolę tę pełni on do dzisiaj. W ciągu swego długowiecznego istnienia wielki meczet przechodził oczywiście liczne przeobrażenia, był odnawiany i rozbudowywany przez rozmaitych władców i rządców Egiptu, a największe zapewne w tej dziedzinie zasługi położył w XVIII wieku Abdur Rahman Katchoda, który powiększył sanktuarium świątyni blisko o połowę.

Już z zewnątrz Al-Azhar przedstawia się imponująco. Nie tyle ze względu na swe rozmiary, meczety bowiem Sułtana Hasana i Ar-Rifai przewyższają go ogromem, ile dla owej średniowiecznej powagi i wzniosłości, jaką tchnąć się zdaje. Front meczetu ma w sobie coś z fortecy dzięki owej surowości szarych murów, wyźebionych w fantastyczne blanki. Podwójna brama, ozdobiona płaskorzeźbami, wśród których zdaleka odróżnić można zielone cyprysy — symbole Życia — prowadzi do wnętrza, a trzy różnego kształtu minarety wznoszą się dokoła dwóch kopuł meczetu.

Wchodząc do świątyni zwiedzający znajdzie się na ogromnym, prostokątnym dziedzińcu („sahn”), obramowanym portykami o marmurowych kolumnach. Drewniane przepierzenia umieszczone obecnie między kolumnami, nie pozwalają zajrzeć z dziedzińca w głąb Sali Modłów, gdzie marmurowe słupy tworzą istny las, podtrzymujący dach sanktuarium. Posadzka wystana tu jest czerwonymi dywanami, ofiarowanymi przed kilku laty przez króla Faruka. Część Sali Modłów ma podłogę wyższą o jeden stopień — to nowsza część meczetu wybudowana przez Abdur Rahmana Katchodę. Boczne drzwi z lewej strony prowadzą poprzez niewielką, dość ciemną salkę do izby grobowej Dżauhara, który spoczywa pod małym nagrobkiem z białego marmuru, ozdobionym na rogach czterema gałkami. Cicho tam i dziwnie podniosłe pod ozdobioną stalaktytami

kopułą, przez której okienka, zaopatrzone w piękne kolorowe witraże, niewiele tylko przecieka światła, rozpraszając nieco mrok w tym miejscu wiecznego spoczynku zwycięskiego wodza i świętego.

Przez wieki całe Al-Azhar był największą w świecie siedzibą muzułmańskiej wiedzy religijnej, ale stopniowo chylił się już ku upadkowi. W dziewiętnastym wieku, gdy Chedyw Ismail starał się uczynić z Egiptu „częstkę Europy” — jak sam się wyrażał — średniowieczna uczelnia była w zupełnym upadku. Madrasat Al-Kada (Szkoła Sędziów) i Dar Al-Ulum („Dom Wiedzy”) — rodzaj seminarium nauczycielskiego) założone w Kairze, stały się ośrodkami tych nauk, które dawniej miały swą wyłączną siedzibę w Azharze. Nadszedł nawet dzień, w którym studenci tłumnie opuścili odwieczne mury... Fakt ten do tego stopnia jednak zaalarmował opinię publiczną w Egipcie, że rząd wyznaczył komisję, której zadaniem było zbadanie sytuacji uczelni i jej reorganizacja. Od tego czasu Azhar zaczął stopniowo powracać do zdrowia. Ogromne zasługi w dziele jego odrodzenia położył Muhammed Abdu, wielki mufti Egiptu, słynny modernizator muzułmański. Ostateczne swe uzdrowienie i obecną pozycję w świecie Islamu Al-Azhar zawdzięcza królowi Fuadowi I oraz zmarłemu niedawno rektorowi Szeichowi Muhammedowi Mustafie Al-Maraghi. Król Fuad wydał kilka dekretów, na których podstawie przeprowadzono całkowicie nową organizację uczelni. Pradawny meczet Dżauhara choć pozostał niejako jej sercem i od niego wzięła ona swą nazwę — Al-Gamia Al-Azharia („Uniwersytet Azharski”) — przestał być siedzibą jej istotną, znalazła bowiem swe pomieszczenie w nowych wielkich gmachach w nowoczesnym stylu.

Uniwersytet Azharski dzieli się na trzy wydziały czyli „kullijaty”: teologiczny („usul ad-din” — właściwie „źródła wiary”), prawa kanonicznego („asz-szaria”) oraz języka arabskiego („al-lugha al-arabija”). Nauka na wszystkich tych wydziałach trwa po cztery lata. Poza tym od uniwersytetu są uzależnione dwa kursy

↳ Sanktuarium meczetu w dni powszednie służy za salę wykładową



niższe (początkowy i średni), mające charakter przygotowawczy. Nauka na tych niższych kursach trwa także po cztery lata, a program ich jest zbliżony do stosowanego w szkołach średnich. Na wydział Uniwersytetu Azharskiego można być także przyjętym po uzyskaniu zwykłej świeckiej matury. Studenci „kullijat”, po złożeniu z wynikiem pomyślnym egzaminów końcowych, otrzymują „świadectwo wyższe” („asz-szahada al-ulja”), które ich upoważnia do wstąpienia na jedną z „sekcji specjalizacji” („kysm at-tachassus”), związanych z poszczególnymi wydziałami. Z „kullijat asz-szaria” związana jest więc „sekcja specjalizacji w zawodzie sędziowskim” (kysm at-tachassus al-kada), z wydziałem teologicznym — sekcja specjalizacji kanozdziejów itd.

Obok nowego Uniwersytetu Azharskiego egzystuje dalej tysiącletnia blisko wszechnica, mająca swą siedzibę w meczecie Dżauhara, zwana obecnie „Zakładem Kairskim” (Maahad Al-Kahira), podobne bowiem gałęzie znajdują się także w kilku innych większych miastach Egiptu. Wszechnica ta w ostatnich latach utraciła jednak wiele swych praw i obecnie jest przeznaczona prawie wyłącznie dla obcokrajowców, którzy po ośmiu latach studiów, mogą tu uzyskać „świadectwo świeckie” (asz-szahada al-ahlija), a po dalszych czterech latach — „świadectwo uczonego” (asz-szahada al-alamija), dające prawo do tytułu „alim” (teolog).

Azhar jest bowiem ośrodkiem wiedzy religijnej, do którego dąży nie tylko młodzież egipska, pragnąca się kształcić w naukach koranicznych, ale także liczne rzesze muzułman innej narodowości — Syryjczyków, Irakczyków, mieszkańców Hedżazu i Nedżdu, muslimów indyjskich, Indonezyjczyków, Chińczyków i wielu, wielu innych. Przed wojną było nawet kilku Polaków, z których jeden — Ali Ismail Woronowicz został później imamem warszawskim.

Studenci Azharu są podzieleni na grupy zwane „riwakami”. W swym początkowym sensie „riwak” oznaczał tylko część meczetu przeznaczoną dla studentów na mieszkanie. W Meczecie Al-Azhar owe riwaki przedstawiają się jako małe przezwężone, dość ciemne izby po północnej i południowej stronie centralnego dziedzińca. Ponieważ w każdym riwaku łączono studentów pochodzących z tego samego kraju, stopniowo stał się on synonimem sekcji narodowościowej i podstawą administracyjnego podziału rzeszy studenckiej. Obok riwaków związanych z poszczególnymi prowincjami egipskimi — jak Riwak As-Saaida (przeznaczony dla mieszkańców Górnego Egiptu) lub Riwak Asz-Szarakua (przybyszów z prowincji Szarakija) istnieje cały szereg sekcji, w których grupowani są studenci zagraniczni. A więc mamy tu Riwak Al-Atrak (riwak Turków), Al-Mogharba (marokański), Al-Haramain (Dwu Miast Świętych — Mekki i Medyny), Al-Hunud (indyjski), Al-Gawa (jawański), As-Sennarija (sudański) i inne.

Riwaki są zabytkiem z dawnych czasów i w nich może najlepiej zachował się stary duch Azharu. Do niektórych należą tak zwane „takkije”, mające charakter czyniący je podobnymi zarazem do domu studenckiego i do klasztoru. Taką właśnie jest Takkija Muhammed Bey Abu Dahab, w której przed wojną obok Turków, Czerkiesów, Albańczyków i Bośniaków, zamieszkiwali studenci polscy.

Na czele każdej sekcji narodowościowej stoi przełożony noszący tytuł „Szaich ar-riwak”. Przełożonym riwaku tureckiego jest Szaich Abdul Haimd Tahir, wielki przyjaciel Polaków.

Studenci należący do poszczególnych riwaków, pobierają z nich miesięczne dotacje, pochodzące z dochodów z prze-

Dziedzińiec meczetu Al-Azhar



Nowe gmachy, w których mieszczą się wydziały Uniwersytetu Azharskiego



Gmach sekretariatu uczelni Al-Azhar



Studenci Azharu

znaczonych na ten cel dóbr czyli „wak-fów”. Wysokość tych stypendiów zależy nie od stanu majątkowego studentów, ale od środków materialnych jakimi dana sekcja rozporządza. Najbogatszymi są riwaki turecki i marokański, które płać należącym do nich studentom po 4 funty egipskie miesięcznie. W najuboższych riwakach takie stypendium nie przekracza 60 piastrow.

Sposób prowadzenia wykładów na wydziałach Uniwersytetu Azharskiego nie odbiega od wzorów europejskich, ale w dawnej wszechnicy mającej swą siedzibę w meczecie, zachował się do dziś system sprzed wieków. Profesor zasiada tam nie na katedrze, ale na krzeselku ustawionym pod jedną, dowolnie wybraną z kolumn sanktuarium, a dokoła na zasciełających posadzkę dywanach, grupują się w malowniczych pozach jego słuchacze.

Na czele uczelni stoi Szaich Al-Akbar („Największy Szaich”) inaczej zwany Szaich Al-Gami Al-Azhar, mający do pomocy Areopag Wielkich Uczonych („Ihia Kubar Al-Ulama”), złożony z 30 członków. Aby zostać członkiem areopagu trzeba mieć co najmniej 50 lat życia i od piętnastu lat być profesorem na Azharze. Szaich Al-Akbar prezyduje w dwu radach, które bezpośrednio kierują losami uniwersytetu, zwanych „Maglis Al-Aala” (Rada Najwyższa) i „Maglis Al-Idara” (Rada Administracyjna). Do ich składu wchodzi członkowie Areopagu Wielkich Uczonych oraz przedstawiciele rządu egipskiego.

Wygląd fortecy jaki ma Meczec Al-Azhar nie jest tylko zewnętrznym pozorem. Tysiącletnia blisko uczelnia religijna to naprawdę twierdza ducha Islamu tak samo żywotnego jak z czasów Salah Ad-Dina, Kait-Baya czy Abdur Rahmana Katchody. Stąd wiedza koraniczna promieniuje na wszystkie kraje świata gdziekolwiek mieszkają wyznawcy Allaha i Jego Proroka...

Niestety mimo wszelkich odnowicielskich usiłowań, mimo nowoczesnej organizacji Uniwersytetu Azharskiego, w średniowiecznych murach zachowało się jeszcze sporo — właśnie średniowiecza... Niektórzy Azharzycy — choć oczywiście nie wszyscy — patrzą na różne sprawy życia nie tylko z punktu prawa religijnego jak tego należy od nich oczekiwać, ale jeszcze patrząc na to prawo przez okulary sprzed trzech stuleci... Niewątpliwie jednak wielu zarówno profesorów jak uczniów jest ożywionych innymi ideami, a poza tym wysiłki osób kierujących państwem egipskim iść się zdają po linii odrodzenia Azharu nie tylko w sensie reorganizacji administracyjnej, ale także przez odnowienie jego ducha. Tymczasem zaś Azhar, pozostając siedzibą nauk teologicznych i prawa koranicznego, jest zarazem strażnicą czystości arabskiego języka.

Azhar jest także potęgą w świecie politycznym. Nie tylko dlatego, że wiedza Koranu promieniuje na cały świat muzułmański wskutek czego wszystko co się w jego murach dzieje odbija się echem bardzo szerokim w okolicznych krajach, ale także przez swój wpływ na politykę wewnętrzną Egiptu. Studenci Azharu interesują się nią żywo i czynni w niej udział biorą na sposób właściwy akademikom całego świata. I tych z nad Nilu i tych z nad Wisły cechuje jednakże zapalczawy patriotyzm i tak samo mają gorące serca jak głowy... Wielotysięczna zaś rzesza „talaba” azharskich, pochodząca z szerokich warstw ludności egipskiej, ma wśród ludu posłuch ogromny.

Zarówno król Faruk jak jego ojciec król Fuad I położyli wielkie zasługi wobec uczelni i zawdzięcza im ona niezmiernie wiele. Dlatego to Azhar jest podporą autorytetu królewskiego. Podporą o wiele, wiele potężniejszą niż jakiegokolwiek polityczne stronnictwo...

Król Fuad I założył w Kairze także uniwersytet świecki, noszący dziś jego imię (Gamia Fuad Al-Auwal). O ile jednak Azhar jest uczelnią wyjątkowo religijną muzułmańską o tyle Uniwersytet Króla Fuada jest zwykłym wyższym zakładem naukowym nowoczesnym na wzór europejski, kształcącym lekarzy, prawników, filozofów etc. Pozatym podczas gdy na Al-Azhar są przyjmowani wyłącznie muzułmanie, na uniwersytecie świeckim kwestia religii nie jest brana pod uwagę.

KARPACKICH



Zastępca Dowódcy 2 Korpusu gen. dyw. Szyszko-Bohusz na biegu myśliwskim w Pułku Ułanów Karpackich

Jeleń św. Huberta w Pułku Ułanów Karpackich



Bigos myśliwski

Przypinanie koniom szarf po biegu w Pułku Uł. Karpackich



ŚW. HUBERT UŁANÓW

Nie ma chyba kawalerzysty i myśliwego, a obie te rzeczy zwykle się łączą, który na myśl o zbliżającym się święcie Huberta nie westchnie, dawne wspominając czasy. I choć jesień tutejsza tak samo liściem nam sypie, jak tam i choć słońce tu nie skąpsze jak nasze złote jesienne — to nie to samo. Są ci, co mówią, że polowanie na czołg lepsze jak na dzika, że więcej daje emocji patrol poprzez pola minowe, niż nocne podchodzenie głuszka wśród topielisk. Są ci, co mówią, że na „jeepie” łatwiej kark skrócić jak na koniu i że na motorze dalej można skoczyć.

Być może, ale to nie to samo. Dlatego

św. Hubert wielu ma wyznawców, którzy jego specjalnej polecają się opiece wierząc, że nie dopuści, by jego święto obchodzić przestano. A któż je będzie obchodził, jak nie polscy ułani. Dlatego dzień tego patrona pieczołowicie wszędzie jest czczony.

W Pułku Ułanów Karpackich święto odbyło się w niedzielę, dn. 4.XI przy udziale licznie przybyłych gości z Z-cą Dowódcy Korpusu gen. Szyszko-Bohusz na czele. Cechował je tak dla Pułku charakterystyczny nastrój swobody i tradycji.

W pięknym parku Villi Conti powitano przybycie gości starodawną pieśnią: „Hej hej, do kniei”, po czym nastąpiło krótkie przemówienie o św. Hubercie dla niewtajemniczonych, a (dalej bieg za lisem pieszo dla najmłodszych ułanów Pułku. Po udekorowaniu zwycięzcy grupa gości i oficerów Pułku siada na koń. Tak — „na koń” — nie „na jeep’y”. Wprawdzie nie jest tych koni wiele, bo tylko jedenaście, ale zwyczajowi stanie się zadość — bieg za lisem konno odbędzie się. Jest wielkie poruszenie wśród widzów, padają różne doskonałe rady, koło Oficera Technicznego cała gromadka — a czy zanotowany, a przepisy drogowe, a czy jest „license driving horses”? Za Dowódcą Pułku kawalkada rusza, by wkrótce zniknąć z oczu na krętej drodze.

Uwaga, na chwilę odwrócona, wraca do przemilczanych towarzyszek obchodu święta. Muzyka skocznie przygrywa, więc nic dziwnego, że za chwilę coraz to więcej par puszcza się w tany. Ale oto okrzyk „wracają”. Wśród skupienia trębacz ogłasza „Hallali”. Pani C. dekoruje konie „flow” i — niespodzianka: Dla jednego z jeźdźców, rtm. Z., znanego miłośnika koni wogóle, a szkockich siwków w szczególności — piękny medal z podobizną „White horse’a. Za czym do stołów bigosem zastawionych, gdzie przy whisky i gin’ie (gdzie te nasze starki, żubrówki, nalewki?) języki się rozwiązują, wspomnienia i „myśliwskie historyjki” pozwalają myślą przenieść się wstecz.

Godnie wystąpił pułkowy zespół muzyczny. Konkurował z Pułkową Rozgłośnią i bodajże wziął miejsce pierwsze. Dobra muzyka, piękne otoczenie parku stworzyły doskonałe tło drugiego konkursu — Panie z P. S. K. versus Signoriny. Kto miał powodzenie większe orzec trudno. Miły nastrój, doskonała harmonia wskazywałyby raczej: nierozegrana.

T. M.

Jadwiga Czechowiczówna

P O L S K I N U R T

Ukazała się nowa antologia poezji żołnierskiej, gromadząca utwory poetów 2 Korpusu z okresu walk na ziemi włoskiej. Antologia walki nosi tytuł „Nasze granice w Monte Cassino”.

Fakt, że wśród książek wydawanych w warunkach wojennych dla żołnierza jedną z najpoważniejszych pozycji stanowią liczne tomiki wierszy, świadczy nie tylko o tym, że wiele ludzi pisze, lecz także o tym, że żołnierz chętnie czyta wiersze, że poezja tej wojny nie znużyła go, a przeciwnie jest mu potrzebna.

Jest rzeczą zastanawiającą jak bardzo ta wojna wyzwoliła poezję.

Wydaje się, że dużo dogodniejsze warunki dla rozwoju twórczości pisarskiej towarzyszyły pierwszej wojnie światowej, która dziś wydaje się niemal humanitarna i rycerska w porównaniu z żywiołem zniszczenia i brutalnym realizmem potworności tej wojny. A jednak o ile tamta dała życie stosunkowo nielicznemu utworom poetyckim, które zdobyły sobie prawo przetrwania w literaturze pod nazwą Poezji Legionowej, o tyle wojna obecna otworzyła istne tany przepięknemu nurtowi poezji żołnierskiej.

Możnaby przypuszczać, że zjawisko to tłumaczy dostatecznie prawo kontrastu, że brutalna rzeczywistość wywołuje chęć ucieczki w abstrakcyjne pojęcia piękna, artyzmu, w subtelność liryki, która stanowi odpoczynek dla skołatanych nerwów, tak jak przerwa w akcji pozwala upajać się ciszą na polach bitwy. Być może, że biorąc rzecz bardzo ogólnie — tak jest, a nawet lektura wydanych podczas wojny, skromnych tomików żołnierskiej poezji angielskiej mogłaby nas utwierdzać w tym sądzie. Aby jednak ocena wartości, jaką ma poezja dla żołnierza polskiego stała się pełniejsza, a jej powodzenie bardziej zrozumiałe, wystarczy porównać jakikolwiek tom żołnierskiej poezji angielskiej z wyżej cytowaną Antologią.

Żołnierze 8 Armii wydali maty zbiór wierszy p. t.: „Poems from the Desert”. Spośród 27 zawartych w nim wierszy może znajdziemy trzy bliskie swoim duchem polskiemu czytelnikowi — reszta stanowi albo wierszowane notatki, jakby z dziennika podróży, obiektywne, pozbawione refleksji relacje widzów, albo wiersze okolicznościowe czy patetycznie propagandowe. Na ich podstawie nie można wyrobić sobie sądu

o tych ludziach, a wie się tylko, że dzielnie bili się w Afryce, nienawidzili Niemców, tęsknili do domów, a egzotykę Wschodu traktowali jako godną widzenia „curiosity”.

Gdy się porówna te wiersze żołnierskie, pisane na jednym szlaku i w identycznych warunkach bojowych, trudno nie odczuć głębokiej między nimi różnicy. Nie chodzi o to, które z nich mają większą wartość literacką, jedne i drugie zrodziła wojna, jedne i drugie nie tylko otwierają nowy rozdział literatury, ale stają się materiałem, z którego w przyszłości będzie się czerpać prawdę o naszej epoce.

Zasadniczą cechą, która odróżnia żołnierską poezję polską od angielskiej, jest jej charakter problemowy i równoczesna intymność. Nasza twórczość poetycka w tej wojnie nie wie dzie luksusuowego żywota na marginesie codziennej rzeczywistości. Aby się o tym przekonać, wystarczy uważnie przeczytać Antologię Walki. Poezja polska nie jest krajną ucieczką dla zmęczonych serc i umysłów, jest częścią życia codziennego z wszystkimi jego radościami i smutkami, nadziejami i wątpliwościami. Obejmuje całą ogromną gamę odczuć i problemów nurtujących

wojny żołnierza-człowieka, na których zgłębienie i przeanalizowanie nie ma częstokroć czasu w rozgwarze bitwy, które jednak domagają się wypowiedzenia i nazwania, bo wszystkim są wspólne.

Być może, iż przyszłemu historykowi kultury żądna powieść, żaden zbiór reportaży, czy plik dokumentów wojennych nie powie tyle o żołnierzu 2 Korpusu, co ta skromna książeczka wierszy. W momentach wielkich przełomów dziejowych szybko zacierają się ślady wielkich czynów, gasną blaski bohaterstwa i szarzeją wielkie imiona, ale trwa i buduje ciągłość to właśnie, co wojna spycha poza nawias życia — najgłębsze ludzkie umiłowanie, tęsknota i wiara.

Poezja żołnierska nie tylko formułuje nakazy bojowe, zagrzewa do walki czy jest orędowniczką idei, ale także wypetnia luki, jakie z konieczności powstają w przeżyciach żołnierza na wojnie, utrzymuje równowagę pomiędzy rzeczywistością frontu a rzeczywistością życia. Ponieważ zaś rzeczywistość polska nie ma sobie podobnej, więc i polska poezja nosi wyraźne cechy odrębności.

Rzeczywistość nasza przyczynia się

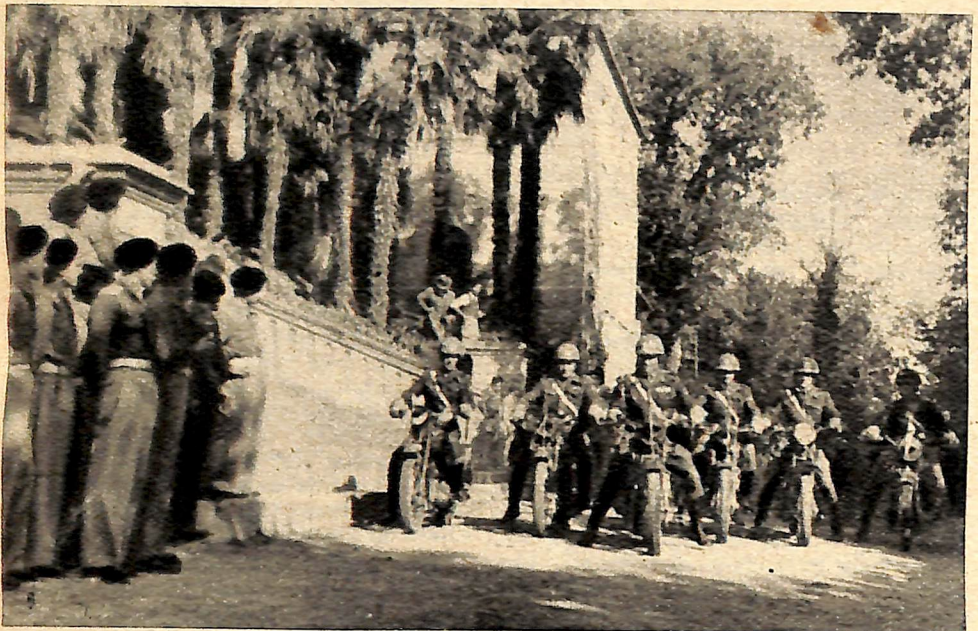
I KRECHOWIECKICH



Na cudnych, lesistych wzgórzach nad jeziorem Augustowskim pędzi barwny korowód jeźdźców wśród listowia, malowanego wszystkimi barwami polskiej jesieni. Migają amarantowe otoki czapek ułańskich, czarne kostiumy amazońki, białe spodnie jeźdźców cywilnych, tu i ówdzie ognistą plamą zaświeci w słońcu czerwony frak, oślepi oczy promień, odbity w polerowanej stali strzemięcia. Długim węzłem wysuwają się z lasu jeźdźcy, zwartą masą koni, walących rytmicznie kopytami w nagrzaną jesiennym słońcem ziemię, falą młodych ciał, jednym ruchem pochylonych nad grzywami koni

Szarfy zdobią zwycięskie konie Krechowieckich

Publiczność z zainteresowaniem obserwuje przebieg biegu w P. Uł. Krechowieckich



Po biegu Krechowiacy otrzymali żetony pamiątkowe

Start biegu motocyklowego w dniu św. Huberta w P. Uł. Krechowieckich



Tradycyjny bigos u Krechowieckich



przewalają się przez łączkę, by po chwili zniknąć w zeluści leśnej drożyny.

Taki bywał co roku bieg św. Huberta w Augustowie, drogim wspomnieniu wszystkich starych Krechowieckich miejsc postępu pułku w wolnej Rzeczypospolitej. Dziś czasy te wydają się tak dalekie, choć to przecież zaledwie sześć lat nas od nich dzieli. Wiecie się zmienić. Sliczne, bystre i wierne konie ułańskie zeszyły z placu wobec straszliwej przewagi ognia i żelaza. Cudne lasy i jeziora Augustowskie nadłuchują z dala czy nie słychać jeszcze łoskotu silników i chrzęstu gąsienic, zwiastujących, że idą nareszcie amarantowi ułani, by wypędzić na jeźdźcę świętej Puszczy Augustowskiej, w której kryje się jeleni św. Huberta.

Rzucił los ułanów na tułaczkę po coraz to nowych, obcych i dziwnych miejscach. Gdziekolwiek by jednak nie byli w dniu św. Huberta, wśród piasków pustyni, czy winnic Italii, obchodzą zawsze z jednakim umiłowaniem ten dzień, który jak żaden inny przenosi ich myślami tam, daleko, za siódma górę i za siódma rzekę, gdzie teraz snują się w powietrzu nitki babiego lata, gdzie liście złocą się i czerwienią tak jakoś pięknie jak chyba nigdzie indziej na świecie.

W tym roku Ułani Krechowieccy mieli wyjątkowe szczęście. Stary park przy zamku Castel S. Pietro stanowią śliczne tło do urządzonych w dniu św. Huberta gonitw. Deby, klony i kasztany złocą się prawie tak, jak... w Polsce.

Pogoda dopisała, jak na zamówienie — było nawet trochę za ciepło. Goście wojskowi i cywilni zjechali się tłumnie i zostali rozstawieni na mchem porośniętych schodach zamczyska, skąd doskonale mogli widzieć start, finish i niektóre fragmenty biegów — pierwszego i następnego, które składały się na pierwszą część programu. „Bieg za lisem” na piechotę jest, nawiasem mówiąc zupełnie zgodny z tradycją kawaleryjską. Należał on do uświęconych zwyczajów szkoły kawalerii w Grudziądzu, gdzie młodzi adepci odbywali co roku w dzień św. Huberta trudny bieg pieszy za lisem.

Nowością był bieg motocyklowy, który wypadł bardzo efektownie, jeźdźcy na stalowych wierzchołkach wykazali prawdziwie ułańską brawurę, forsując trudny teren w tempie, przyprawiającym patrzących signoriny o przyspieszone bicie serduszek.

Po zakończeniu biegów drużyny ustawiły się do wręczenia żetonów. Trebacze zagrali kawaleryjski marsz, a dwaj masztaleryze wyprowadzili osiodłanego konia, do którego uszy włąściłka zamku przypięta pęk zaśłonek „flow”, symbol uznania zasług konia w tej dziedzinie sportu.

Po rozdaniu nagród nastąpił ostatni bieg — gości do bigosu, dymiącego na stołach w parku. Polski bigos, podlany w miarę angielską whisky i włoskim koniakiem zakończył tę piękną uroczystość.

MICHAŁ SIEMIRADZKI

do tego, że tak wiele jest tych luk do zapełnienia, że poezja musi raz po raz przerywać pomosty nad przepaściami krzywd, zwątpień, zawodów i tragedii, musi niejako ubudowywać w przestrzeni i w czas świat, który lata wojny i rozłąki odbierają nam z nieubtaganą konsekwencją faktów, równie nie uznawanych jak prawdziwych.

Żołnierz angielski, któremu w długie frontowe noce marzy się domowy kominek, twarze bliskich i bezpieczna atmosfera „home” wie jednak, że jutro dostanie list, a w przerwie akcji może nawet urlop do domu. Nic dziwnego, że wiersz w takim momencie odtwarza jedynie nastrój chwili, bardzo ludzki, a jednak różny o całą głębię tragicznego przeżycia, jaką w podobny tematycznie wiersz, wkłada żołnierz polski, któremu te słowa są nie tylko drogą do utraconego domu, ale i domem samym i rodziną i Ojczyzną.

Z drugiej strony, myliłby się bardzo, ktoby sądził, że poezja żołnierska tej wojny spełnia jedynie rolę czarodziejskich okularów, przez które widzimy świat utracony, wyidealizowany tęsknotą i upiększony miłością. Tak niewątpliwie nie jest. Choć poetyckie patrzenie na otaczającą nas rzeczywistość, nie pomija żadnej okazji, aby przywołać w pamięci drogocenne obrazy z przeszłości, to jednak nie tylko nie zamyka oczu na teraźniejszość, lecz przeciwnie otwiera je do bólu szeroko, w poezji tylko właściwy „rozumny sztafem” sposób.

I tutaj poezja nie daje jakiegś goto-

wej recepty czy przepisu w tej najboleśniej sprawie naszej rzeczywistości, nie wypełnia żadnego „programu” mającego na celu podniesienie „moralu” żołnierza i nie bierze za punkt wyjścia owego oficjalnego morale grupy żołnierskiej. Jest rzeczą charakterystyczną, że w Antologii: Walki nie znalazł się ani jeden wiersz, któryby sięgając poza samą walkę, w ciszę tragiczną dla nas zwycięstwa zachował ten brawurowy, zespołowy, programowy niejako ton. Zwycięskie boje 2 Korpusu mają swoje wspaniałe, pełne uniesienia wiersze, wiejące jak sztandary polskie na szczytach zdobywanych miast. Ale polska tragiczna rzeczywistość „pokoju” znajduje swój wyraz w poezji, która schodzi w ciszę samotnych nocy żołnierskich, staje się najbardziej intymna, jak rozmowa przyjaciół o tym co boli, co wyzwala człowieka w bunt, krzepnący za dnia w zaciętej woli przetrwania. Poezja uświadamia żołnierzowi, że jego ludzka krzywda i troska nie jest kłeską, na którą nie ma rady, ale głęboko polską tragiczną prawdą, o którą się bijemy na przestrzeni całej naszej historii i bić się będziemy nadal. To nie jest hasło, ani odezwa, ani nawet żołnierski nakaz zrodzony chwilą — to jest polska racja istnienia, prawda wspólna żołnierzom Legionów Dąbrowskiego i ich prawnikom z 2 Korpusu.

To co rodzi gorzki bunt, musi być wypowiedziane:

Wolność, braterstwo, równość, żąda prawdziwych poświęceń...

Lecz co znaczy dziś wolność? Tiurny, więzienie i stryczek...
Równość? Co się dziś liczy? Tylko trzy siły, nic więcej...
Czym jest dzisiaj braterstwo? Targiem o polski granice...

Pisze Bolestaw Kобрzyński, a inny poeta Mirzwiński w wierszu „Modlitwa Krymska” mówi:

Idziemy pod białym przęgiery,
Z obliczem czystym i dumnym —
Śmieszni, uparci żołnierze
Prawd nierozumnych.

Idziemy przez kłamstwa parzące,
Donkiszotowi rycerze,
Lecz pozwól nam, Boże, do końca
Tak samo wierzyć.

Wreszcie najbardziej gorzko maluje los polskiego żołnierza Olechowski w „Elegii o żołnierzu tułaczku”:

Idź, gdzie nogi poniosą. Niech
serce stężeje w kamień.
Krew jest siejbą głęboką i Boże
znaczą ją losy.
To jest twój w ziemię rzucony,
nieubtagnany testament...

Ten krwawy i gorzki testament polskości przekazywany z pokolenia w pokolenie, znajduje swój głęboki wyraz w poezji żołnierza 2 Korpusu, tego, który walczył od pierwszego, aż po ostatni dzień wojny i odnosił stawne na cały świat zwycięstwa.

Mówimy często, że historia się powtarza. Nasza polska historia powtarza się szczególnie tragicznie. Wciąż zaczy-

namy od nowa, powstajemy z gruzów, odradzamy się i raz po raz sptywamy krew. A przecież na przestrzeni wielu pokoleń i wielu wojen, nie zmieniły się ani na jotę dla nas te prawdy, za które musimy się krwawić, aby wolno nam było nimi żyć. Prawdy te są w naszej krwi i w naszej poezji i to zapewnią im trwanie wieczne, bez względu na ofiary, jakimi żołnierzowi przychodzi je okupywać.

Zadanie żołnierza jest proste. Wierna jego losowi poezja formułuje je słowami Wierzyńskiego:

Nie ma innego pochodu,
Skroś tej zawiei, co nas zatapia:
Przeszła piechota, wróci piechota,
Przeszła bateria, wróci bateria
Na Via Appia.

Może wiele jeszcze przed nami takich pochodów, może długo jeszcze proste szosy na północ będą tużdziły, jak fata morgana, może długo jeszcze ziemię rodzinną będzie nam musiała zastąpić poezja, bo jeśli prawdą jest, że dziś żołnierz Ojczyznę nosi w plecaku — to jest ona zapisana na kartkach żołnierskich wierszy. Ta sama poezja, która zrodzona w walkach tułaczycy Legionów Polskich na ziemi włoskiej, rozbrzmiewa nam dziś wiecznotrwałą prawdą: „Jeszcze Polska nie umarła, Kiedy my żyjemy!”

*) „Nasze Granice w Monte Cassino” — Antologia Walki — opr. Jan Bielawicz. Bibl. „Orła Białego” — Rzym 1945.

Praca Dawida E. Lilienthala*) o dolinie rzeki Tennessee jest książką o Jutrze. Tak może kiedyś wyglądał będzie ów „jeden” świat choć zapewne my nie doczekamy już tego.

Historia doliny Tennessee jest typem lektury najbardziej dziś potrzebną. Odbudowuje bowiem wiarę w człowieka, człowieka naszej cywilizacji. Dzieje TVA (Tennessee Valley Authority) stanowią eksperymentalny dowód, że współczesny człowiek nie znalazł się w ślepej ulicy, u kresu swych rozwojowych możliwości i że nie jest jego ostatecznym przeznaczeniem nędzne życie niewolnika w ustroju totalistycznym. TVA jest wskazówką, że słusność jest zawsze po stronie ludzi dobrej woli — ludzi pojmujących demokrację beznamytnie, ale uczciwie i realnie.

Na temat TVA napisano już bardzo wiele. Dziesiątki tysięcy specjalistów, uczonych, reporterów i turystów zwiedziło gigantyczne tamy, siłownie wodne, elektrownie, wzorowe farmy i domy zelektryfikowane „od stóp do głów”. Lecz dla nie-specjalisty może najbardziej interesującym zagadnieniem TVA jest sam człowiek zamieszkujący tę wspaniałą dolinę. Bo to jest właśnie typ człowieka Jutra.

Saga betonu TVA imponuje epiką cyfr. Kubatura tam na Tennessee wynosi 113 milionów jardów sześciennych. Jest to dwanaście razy więcej niż łączna kubatura siedmiu największych piramid egipskich. Z konkretnego tego można zbudować niemal osiem sowieckich Dnieprostrojów.

Rzeka, która dawniej rokrocznie niszczyła powodzią około 4 miliony akrów ziemi uprawnej, pozbawiając setki tysięcy ludzi domów i mienia — dziś produkuje 12 bilionów kilowat-godzin energii elektrycznej. Jest to około 50 procent energii elektrycznej produkowanej przez całe Stany Zjednoczone w roku 1914.

Możnaby cytować dziesiątki cyfr mówiących o powierzchni nowych sztucznych jezior, o liniach przewodów elektrycznych, o drogach, żegludze, elektrycznym suszeniu siana itd.

Sądzę jednak, że nie techniczne osiągnięcia — choć tak zdumiewające — stanowią główny problem TVA. Współczesny Europejczyk kontynentalny kojarzy bezwiednie techniczny rozmach z totalizmem, z obozami przymusowej pracy, z upadkiem wolności. Budzą w nim często grozę cyfry kubatury betonu, bo są kraje, gdzie danym tym odpowiadają cyfry zamęczonych niewolników.

Wielkość TVA to nie cement, ale w pierwszym rzędzie dowód, że planowanie nie musi wieść do faszyzmu, a wielkie budownictwo i rozwój gospodarczy do totalizmu. TVA jest stwierdzeniem praktycznym przekonania, że jedynie demokracja może być bazą wyjściową dla wielkich socjalno-gospodarczych zamierzeń. TVA uczy również, że trzeba nowych metod myślenia i nowych metod administrowania, aby z dzisiejszej biurokratycznej demokracji przejść ku realnej demokracji jutra.

TVA jest kolebką nowego pojęcia jedności. Jest to jedność: ludzi, ziemi, wody, zasobów naturalnych. Właściwie to zdanie zawiera w sobie cały ekonomiczny program doliny. Twórcy tego eksperymentu założyli z góry, że zagadnienie obszaru doliny rzeki Tennessee traktowane będzie nie tylko jako całość, ale więcej — jako jedność.

Dobro publiczne postawiono jako kryterium kardynalne dla każdego zagadnienia. Praktyka i studia w terenie wykazały, że jeżeli rozwój całej doliny ma iść w zgodzie z interesem publicznym — konieczne jest planowanie poprzez ową jedność: człowieka, wody i ziemi.

Wolność jest tylko wtedy coś warta, jeżeli istnieją możliwości jej użytkowania. Prywatna inicjatywa musi być oparta na wiedzy i możliwościach. Mądre, demokratyczne planowanie, oparte z jednej strony na wiedzy — z drugiej na moralnym fundamencie dobra ogółu — poszerza wolność jednostki, stwarza bowiem większe możliwości i perspektywy.

Weźmy jeden z najbanalniejszych przykładów. W dolinie Tennessee rolnictwo jest bezpośrednio związane z wodą. Kwestia doboru nasion, uprawy pewnych typów roślin jest ogromnego znaczenia w związku z różną zdolnością warzyw akumulowania wody, konserwacji gruntów

Juliusz Mieroszewski

DOLINA DOBREJ NADZIEI

itp. Specjaliści TVA na podstawie badań doszli do wniosku, że pewne okręgi Tennessee winny uprawiać dużo truskawek. Truskawki bowiem zatrzymują bardzo wiele wody i działają na pewien typ gruntów konserwująco.

Jak przystąpiono do rozwiązania tego zagadnienia?

Rozumowano, że farmerzy danych okręgów będą z całą pewnością uprawiać truskawki o ile będzie to dla nich do brym interesem. TVA przystąpiła do szczegółowych badań rynków zbytu. Studia wykazały, że pojemne rynki zbytu są dość odległe — trzeba więc opracować metody transportu. Sekcja specjalistów TVA wraz z technicznym wydziałem uniwersytetu Tennessee po dłuższych badaniach zbudowała specjalny aparat do szybkiego zamrażania truskawek. Aparat ten został oddany do eksploatacji kooperatywie farmerów. Uprawa truskawek w nowych warunkach okazała się bardzo rentowna. Obecnie w tych okręgach istnieją już dwie duże fabryki eksportujące mrożone truskawki.

Tak oto planowanie na tak drobnym i mało ważnym odcinku przyniosło rozwiązanie zagadnienia ogólnego, ważnego dla życia gospodarczego całej doliny i stało się równocześnie punktem wyjścia dla licznych prywatnych inicjatyw hadlowych. Farmerzy zwiększyli dochodowość swych gospodarstw, a wielu ludzi znalazło pracę w fabrykach. Całość tego procesu związana jest z ujarzmieniem rzeki — z prądem elektrycznym, ze spławnością, z bezpieczeństwem przed powodzią.

Wolność pomnaża się przez wiedzę. Artur Koestler słusznie zauważa, że jednym z dziwnych objawów kryzysu jaki przeżywamy jest fakt owej astronomicznej odległości, jaka dzieli księgarńnię od naszej sypialni i pokoju pracy — innymi słowy naukę od praktyki codziennego życia. Z rzeczy, które już są, z wynalazków, lekarstw, bezcennych spostrzeżeń dokonanych za naszego życia korzystać będą praktycznie nasze dzieci, lub wnuki. Przeciętny człowiek żyje z pięćdziesięcioletnim opóźnieniem w epoce, która jest przeżytkiem, a trwa tylko dlatego, że nie umiemy szybko, to znaczy planowo, u-nowocześniać życia.

Planowanie jest niezbędne, aby zdobyć nauki udostępnić przeciętnemu obywatelowi i aby koordynować wysiłki specjalistów. D. E. Lilienthal przytacza niezmiernie interesujące doświadczenia z własnej praktyki na ten temat. Rzeczoznawcy, specjaliści mają zawsze skłonność rozpatrywać każde zagadnienie poprzez pryzmat własnej specjalności. Gdy zamykano gigantyczne „bramy” nowo-wybudowanej tamy na Tennessee — dolinie przybywało nowe sztuczne jezioro, które wypełniało uprzednio przygotowany teren. Głowy sztabu specjalistów TVA były zawsze podzielone. Lekarz, specjalista od malarii był zdania, że nowe farmy, fabryki itp. nie mogą być zakładane w pasie nadbrzeżnym, specjalista sportowy domagał się budowy pływalni, przystani i parków sportowych, leśnik żądał zalesienia całości brzożego jeziora, specjalista od żeglugi przedkładał plany portów, a energetyk interesował się tylko tym, aby cały zapas wody szedł przez turbiny siłowni.

Z tych wielości racji, z tych jakże różnych punktów widzenia TVA wypracować musiała idealny kompromis, któryby zamykał w sobie maksimum korzyści ogółu.

Na czymże w końcu polega realna demokracja jak nie na takim działaniu, aby praca jednostki przynosząca jej bezpośrednie korzyści — w bilansie ogólnym była działaniem na rzecz dobra ogółu. Nie każda wolność inicjatywy prywatnej zasługuje na miano demokratycznej. Bezplanowe eksploatowanie bogactw naturalnych w samych Stanach Zjednoczonych w wielu wypadkach przyniosło olbrzymie szkody gospodarce narodowej. Doświadczenia TVA mówią, że każdy obszar gospodarczy jest tkaniną bez szwu, całością, która nie może być członowana, czy krajana. Racjonalny rozwój jest do osiągnięcia jedynie na drodze planowania całości. Planowanie tego typu nie oznacza ograniczenia wolności jednostki — przeciwnie pomnaża możliwości dla inicjatywy prywatnej, zwiększa rozpiętość skali szansy życiowej dla każdego.

W TVA zrealizowano rzecz zdawałoby się absurdalną: planowanie połączone z decentralizacją. Innymi słowy stworzono pewien ideał: zdecentralizowaną administrację — scentralizowanej władzy.

Lilienthal cytuje wiele przykładów z których jasno wynika, że TVA mogłaby oczywiście sama stać się...firmą i zwycięsko konkurować z inicjatywą prywatną i jej dziełem — prywatnym przedsiębiorstwem. Tej pokusie nie oparły się państwa totalistyczne. TVA nie jest ani firmą handlową, ani rządem totalistycznym. Jej dążeniem jest nie hamowanie inicjatywy, lecz poszerzenie pola możliwości dla inicjatywy prywatnej. Ta droga rozwoju jest napewno dłuższa i mniej efektywna od metody totalistycznej, gdzie jedynym „businessman'em” jest rząd, który dyktuje obywatelowi-robotnikowi swe warunki. Metoda decentralizacji tj. rozbudowa planu ogólnego poprzez obywateli i dla obywateli — rozbudowa od dołu, daje jednostce poza zwiększoną szansą życiową również świadomość aktywnego współudziału w ogólnym rozwoju kraju. Totalizm działa „odczłowieczająco”. Jednostka czuje się uniformowanym, nie znaczącym pionkiem. Decentralizacja administracji niesie odbiurokratyzowanie życia i przywraca obywatelowi możliwość pracy twórczej.

Szczęście w sensie ludzkim nie znaczy „mieć”, ale „być”. Być kimś, mieć świadomość indywidualnego sukcesu, to są elementy szczęścia, których nie zastąpi dobrobyt niewolnika, który choćby był bogatym wie, że jest tylko niewolnikiem.

TVA wytworzyła wiele nowych pojęć, które w sumie składają się na nowy typ demokracji. Ten nowy typ demokracji różni się zarówno od kapitalizmu dawnego stylu, jak i od doktryn totalistycznych: komunizmu i faszyzmu. Nie jest to również miniatura totalizmu „dyktatury speców” w sensie sowieckim.

TVA powiązała trudne — zdawałoby się mogło — przeciwstawne sobie idee dzięki oparciu swej struktury na potrójnym fundamencie: korzyści ogółu — wiedzy — dobrej woli.

Eksperyment TVA przeprowadzono w beznamytniej, racjonalistycznej atmosferze.

— na przestrzeni objętej jednolitą suwerenną władzą państwową, na obszarze jedności językowej i narodowej. Rozpatrując TVA w skali światowej — to mimo, że obszar jej równym jest powierzchni Anglii i Szkocji — uznać musimy ją za eksperyment laboratoryjny.

Trzeba było geniuszu przystosowalności i kompromisu Anglosasów, aby w skali jednej doliny rzecznej stworzyć próbę owej jedności człowieka — wody i ziemi — próbę zrationalizowania naszej cywilizacji. Jakże daleką jest droga od doliny Tennessee do... doliny Wisły — od TVA do „jednego” świata.

Jest rzeczą niewątpliwą, że olbrzymi rozwój techniki i nauk przyrodniczych, komunikacji wszelkiego typu, rozrost potencjału mocy wielkich państw przemysłowych (energia atomowa) — wszystko to niesie z sobą imperatyw rewolucji i reformy. Państwa totalne hołdują tezie, że należy poświęcić wszystko, łącznie z demokracją, w celu osiągnięcia maksimum scentralizowanej potęgi — fundamentu polityki imperialistycznej. Ale co dziwniejsze — wielu pisarzy i publicystów wyraża dziś przekonanie, że rozwój techniki narzuci nam niejako formy organizacji totalistycznej. Pisarze ci widzą w planowaniu i w częściowym upaństwowieniu produkcji zbliżające się rzekomo stotalizowanie całej naszej cywilizacji i upadek demokracji.

Tego zdania jest Burnham, który uważa że wszystkie państwa przemysłowe zdążają ku dyktaturze „speców”. Artur Koestler w szkicu „The Fraternity of Pessimists” przewiduje również stotalizowanie i nadzieje swe łączy z małymi oazami kultury i wolności, które jeżeli przetrwają z nich wyjdzie kiedyś będzie mogło odrodzenie.

Tego rodzaju „obrońcy demokracji” są ludźmi, którzy sami w nią nie wierzą. Wierzą natomiast w jakiś bliżej nieokreślony fatalizm ewolucyjny, fatalizm współczesnej techniki, która rzekomo w konsekwencji stotalizuje nasze życie i myślenie.

Dla wszystkich, którzy się interesują tym centralnym zagadnieniem kryzysu naszej cywilizacji — historia TVA jest niezmiernie pouczającą i krzepiącą lekturą.

Jest rzeczą najzupełniej możliwą pogodzić planowanie z demokracją — pełny rozwój zasobów naturalnych z wolnością jednostki — realną demokracją z realną potęgą i dynamizmem państwa. Byłoby zupełnym absurdem przypuszczać, że pełny rozwój techniki, a co z tym idzie i potęgi przemysłowej, jest do osiągnięcia jedynie za cenę stotalizowania ustroju. To jest „kompleks monachijski”, który podświadomie tkwi w każdym z nas. Na demokrację typu 1939 r. oczywiście w świecie współczesnym miejsca nie będzie. Demokracja ewoluuje.

Nadziei na lepszy świat nie możemy opierać na „braterstwie pesymistów” — na wierze, że ocaleją jedynie oazy kultury. To jest kapitulacja. Państwom totalistycznym — jak Rosja — nic nie „wyperswadujemy” i w niczym ich nie przekonamy. Musimy budować nie tylko wolność, lecz i potęgę demokracji — jeżeli mamy przetrwać, jeżeli ów „jeden” świat, ku któremu zmierzamy ma być kontynuacją kultury, do której przynależymy.

*) TVA — David E. Lilienthal — Penguin Books — England & USA. 1945.

Wielkanocą 1940 zegnaliśmy Mietka po raz ostatni. Wiedziałem tylko, że odjeżdża na Śląsk. Od tego czasu zapadł po nim wszelki śluch.

Pierwsza wiadomość od Eli w Dziezicach nadeszła dopiero w drugiej połowie maja. Mietek, który występował pod nazwiskiem Piotra Elinka, został aresztowany. Informacja była zwięzła. Nie pozostawało nic innego, jak wyczytać na bliższe szczegóły.

Z początkiem lipca wracałem pociągiem z Rabki do domu. W tym samym właśnie dniu wiezono Mietka po raz pierwszy z Oświęcimia do Warszawy. Jechał z eskortą czterech SS-manów, na wozie znajdował się karabin maszynowy.

Pewnego dnia—około połowy lipca—w „Seniorie” przy Placu Trzech Krzyży zjawił się zagadkowy osobnik z pierwszym grypsem. Piotr Elinek zawiadomił krótko, że znajduje się w Alei Szucha i prosi o żywność. Równocześnie upoważnia, aby pośrednikowi „pożyczyć” trzysta złotych.

Rozpocząłem indagowanie nieznanego. Był Volksdeutschem zatrudnionym w gmachu Gestapo jako dozorca. W tym charakterze miał dostęp do cel więziennych. Weber — jak ustaliłem później — pochodził spod Warszawy. Był małomówny i wstrzemięzliwy w wyrażeniach. Mimo to podjął się ryzykownej roli pośrednika. Zwabiony prawdopodobnie możliwością „zarobku”. Mietek wyglądał rzekomo dobrze i siedział w celi wspólnie z innymi. Przez cały dzień był przykuty nieruchomo do ławki. Przed sobą miał okno z kratami, wychodzące na ogród. Próbowałem zasugerować, aby Weber podjął się przenoszenia listów. Stanowczo odmówił. Był gotów dostarczać tylko paczki. Zażądałem mimo wszystko pisemnych potwierdzeń odbioru ze strony więźnia, aby się upewnić, że paczki dochodzą.

Weber zaproponował, by przesyłki doręczał do jego mieszkania. Wyznał owarcie, że obawia się częstych wizyt w sklepie. Kiedy — od czasu do czasu — zjawiał się u nas, przystawał najpierw długo przed wystawą i dopiero wchodził do sklepu jako klient. Dłuższy czas obserwował wtedy ulicę. Kiedy upewnił się, że nie jest śledzony, przystępowałem do poufnej rozmowy w przyległym pokoju.

W większości jednak wypadków Ewa doręczała żywność do domu Webera. Mieszkał w narożnej części gmachu gestapowskiego. Wchodziło się przez boczne drzwi, stale zresztą zamknięte, gdzie nie było żadnej kontroli. W ten sposób doręczanie paczek nie zwracało niczyjej uwagi. Nieważna łączność była wielkim i wyjątkowym sukcesem. Więźniowie osadzeni w Alei Szucha znajdowali się w tak całkowitej izolacji, że nie było mowy o jakimkolwiek z nimi kontakcie. Doręczanie żywności stawało się w tych warunkach niedoścignym marzeniem.

Weber przestrzegał ściśle umowy, zabierał paczki, doręczał potwierdzenia, ale ani razu nie przeniósł listu, który wyjaśniłby tajemnicę Mietka. Trwało tak do pierwszego września. Weber zjawił się w tym dniu wyraźnie podniecony i zachował zdwojoną czujność. Na wstępie rozmowy zawiadomił, że Elinka wywożą. Zorganizowaliśmy natychmiast możliwie najobfitszą przesyłkę. Wiedzieliśmy, że jest już ostatnia.

Od tego czasu straciliśmy kontakt. W kilka dni później okazało się, że Weber nie powiedział prawdy. Przyczyną zerwania z nami łączności nie był wyjazd mego brata. Nastąpił on dopiero miesiąc później. Weber natomiast uległ wrażliwości, jakie wywarło na nim rozstrzelanie na dziedzińcu warszawskiego Gestapo jednego z SS-manów, który wobec przyjaciółki zdradził termin ulicznej łapanki. Egzekucja odbyła się w obecności wszystkich agentów i całej służby zajętej w gmachu gestapowców. Weber widocznie ocenił, że nie warto ryzykować dalszej pomocy dla więźnia, chociażby sownie opłacanej.

Pierwszy list z Oświęcimia nadszedł w listopadzie. Był stereotypowy: „Ich bin gesund und es geht mir gut”. Usiłowaliśmy bezskutecznie odcyfrować losy oświęcimskiego Häftlinga. Zorganizowana została akcja nawiazania łączności z Mietkiem na Śląsku. Wszystkie jednak informacje nie wyświetliły sprawy.

W przeddzień wigilii listonosz doręczył kartkę datowaną z Warszawy. Nie była pisana ręką brata. Zawiadomił, że jest na Pawiaku i prosi o paczkę. Miała być doręczona w siódmym komisariacie policji przy ulicy Krochmalnej. Sądzymy, że zaszła pomyłka. Jeszcze trzy dni

przedtem doręczono list z Oświęcimia. W komisariacie zapewniano mnie jednak, że pomyłka jest wykluczona. Jeżeli na kartce znajduje się nazwisko więźnia, przebywa on napewno w Warszawie. Kartki wypełniali urzędnicy więziennego biura. Tego samego dnia doręczyłem paczkę wigilijną z opłatkiem i symbolicznym drzewkiem. Pisał później Mietek, że płakał gorąco, kiedy otworzył przesyłkę.

Nie zaliśmy jednak ciągle prawdy. Dotarła do nas dopiero w styczniu. W sklepie zjawił się nowy nieznanomy z grypsem. Więzień prosił o żywność. Nieznajomy zapowiedział, że oczekiwać będzie paczki za godzinę w pokoju numer sto sześćdziesiąt pięć w Alei Szucha.

Porozumieliśmy się z Ewą oczami. Mieliśmy przed sobą niewątpliwie agenta Gestapo. Tajemnica Mietka stała się jakby jeszcze bardziej zawiłą.

Za godzinę Ewa stanęła przed drzwiami biura numer 165. Zapukała i uchyliła drzwi. Za biurkiem siedział nieznajomy. Przed nim stał Mietek. Gestapowiec polecił poczekać na korytarzu. Po kilku długich minutach wezwał Ewę do pokoju.

Mietek nie przemówił długo ani słowa. Ośnoś kłak. Dopiero po chwili zdążył wyszeptać, że ma gruźlicę. Pokazał wybite zęby. Rozmowa nie kleiła się. Agent usiadł na biurku i ostrzegał, aby nie rozmawiano o tym, co było. Nastąpiła rewizja paczki. Wszystko trwało kilkanaście minut. Widzenie było zakończone.

W kilka dni później zjawił się felczer więziennego szpitala. Przyniósł obszerny gryps. Było ich potem bardzo wiele. Mietek odkrywał w nich swoją tajemnicę.

W Warszawie zimą 1940 wszedł w kontakt z robotą Stanisława Piaseckiego. Skierowano go do Krakowa, a potem na Śląsk. Współdziałał tam w organizowaniu tworzącej się konspiracji. Był pełen zapału i wiary w ludzi. Zawiodło go jednak niestety doświadczenie. Do organizacji wciśnięli się agenci Gestapo. W kwietniu 1940 Mietek wybrał się do Wrocławia, aby przygotować akcję wysadzenia mostu. Kiedy zamierzał w Dziezicach wsiąść do umówionego auta, w wozie znajdowali się już SS-mani. Aresztowanemu założono kajdanki i odwieziono do Zabrza.

„Przez pierwsze dwa dni — pisał Mietek w jednym z listów — rozmawiali ze mną grzecznie, częstując papierosami. Odmawiałem zeznań, choć sytuacja była beznadziejna. Trzeciego dnia w pokoju przesłuchań zjawiło się dwunastu ludzi. Na dany znak wyjęli z szaf bykowiec, zaczęli bić. Biło równocześnie kilku. Trzykrotnie omdlałem. Ocucili wodą i grozili, że zamkną i rozwalą całą rodzinę. Potem bili do nieprzytomności. Znowu zemdlałem. Chwytałem w chwilach przytomności świadomość, że z tej masakry nie wyjdę żywy. Ale zaciąłem się i odmówiłem wszelkich wyjaśnień. Zaczęli znowu bić i potem już nic nie czułem. Obudziłem się w celi rzucony na ziemię. Postanowiłem przerwać tę męczarnię. Znalazłem kawałek szyby. Podciąłem żyły u rąk i nóg. Straciłem przytomność. Ocknąłem się, kiedy lekarz niemiecki klamrował mi cięcia. Leżałem cały we

krwi. Lekarz odezwał się: „dlaczego nie powiesiłeś się, miałbym z tobą mniej kłopotu”.

Leżałem w celi pięć tygodni. Nikt mnie więcej już nie przesłuchiwał. Zdołem spokoj. W tym właśnie czasie nawiązałem łączność z więźniem Kriegerem, który robił porządki w mojej celi. Za jego pośrednictwem dałem o sobie pierwszą wiadomość do Eli. Krieger był Ślązakiem i otrzymywał widzenia z rodziną. Spotkałem go później w obozie”.

Z końcem czerwca brat mój znalazł się w Oświęcimiu. Otrzymał numer z pierwszej setki po tysiącu. Znalazł się wśród pionierów obozu. W jednym z grypsów opisywał katusze podczas całodziennych ćwiczeń „gimnastycznych”. Skakano przez całe godziny „żabką”. W pierwszych dniach lipca wywieziono go niespodziewanie do Warszawy. Pytano o jakichś ludzi. Wskazał na znajomych, o których wiedział, że umarli. Szukano przez trzy miesiące. Przez cały okres pozostawał w pojedynczej celi na Alei Szucha. Ratowały go nasze paczki dostarczane za pośrednictwem Webera. We wrześniu pomoc przestała działać, Weber przerwał łączność.

1. października Mietek rozpoczął podróż powrotną do obozu. Był więźniem w kaźniach Łodzi, Bytomia i Wrocławia, gdzie w głębszych podziemiach plót sznurki. W ostatnim tygodniu października wpadł do Oświęcimia po raz drugi.

„Oświęcim był już zaludniony — pisał Mietek w jednym z następnych grypsów — kiedy przybyłem do obozu znajdowało się w nim około pięć tysięcy żydów. W grudniu pozostało ich niewiele ponad 200. Nie było pracy, której nie wykonywałem. Burzyłem domy, woziliśmy kamienie, dźwigałem sztaby żelazne, kopaliśmy ziemię, znosiłem gruzy, regulowałem rzeki. Byłem wspólnie z towarzyszami zaprzęgany do wozów, nakładano na nas uprząż. Ciągnęliśmy biegiem w czterech wozach wyładowane kamieniem i cegłą. Na wozie stał SS-man i biczem okładał nas bez opamiętania. Ze szczególną pasją, masakrowano księży. Podczas apelu musieliśmy wynosić do szeregu trupy zmarłych w nocy. W grudniu bez żadnej przyczyny dostaliśmy się do kompanii karnej. W pierwszym dniu zostałem zbity kijami i bykowcami. Od pleców aż do nóg całe ciało miałem krwawo-fioletowe. Po tej operacji wywlokłem się na czworakach. Byłem przekonany, że zbliżają się ostatnie moje dni. Zapadłem na gruźlicę. Otrzymywaliśmy jeszcze mniej wyżywienia, niż w obozie. Nadeszła ostra zima. Nagle jak z nieba, 22-go grudnia spadła na mnie wiadomość, że znowu zabierają mnie do Warszawy.

Wyjechałem już bez większej asysty w towarzystwie tłumacza, który przybył po mnie specjalnie do obozu. Jechaliśmy autem osobowym. Tłumacz okazał się dziwnie ludzki. W Częstochowie pozwolił mi zjeść obiad. Udaliśmy się obaj do restauracji. Zjadłem dwa befsztyki i dwie porcje kiełbasy, niezliczoną ilość chleba z leguminą. Wypiłem piwo. Zaspokoilem pierwszy głód. W drodze do Warszawy zjadłem oprócz tego podwieczorek. Osadzono mnie tym razem na Pawiaku. Zgłosiłem się natychmiast do doktora Raczyńskiego z Poznania.

KLAUDIUSZ HRABYK

HISTORIA

PIOTRA ELINKA

Oddał mnie do szpitala. Spotkałem tu Medarda Kozłowskiego i Jasiukowicza z Stronnictwa Narodowego. W bibliotece urzędował Dubois. Gestapo obchodziło się ze mną obecnie, jak gdyby mieli mnie za wielką szyszkę”.

Pobyt Mietka przeciągnął się do końca maja 1941. Kilkakrotną próbę jego wywiezienia unicestwił doktor Raczyński orzeczeniem lekarskim. W międzyczasie organizowaliśmy intensywną pomoc dożywieniową. Mietek przybywał na wadze. Lekarz rokował nadzieje. „Feluś” — jak nazywaliśmy między sobą felczer — zjawia się dwa i trzy razy w tygodniu. Łączność i pomoc funkcjonowały jak w zegarku. Z listami do Piotra Elinka szły przez Felusia listy i paczki do Kozłowskiego i Jasiukowicza.

28-go maja „Feluś”, zjawił się w terminie nieumówionym. Był przerażony. Mietek znajdował się w celi transportowej. Potrzebna była natychmiastowa interwencja. Pobiegłem do doktora Raczyńskiego. Tym razem był bezsilny przestał bowiem urzędować na Pawiaku. Skierował mnie do swego następcy. Sprawa Mietka miała tym razem tragicznego pecha. Lekarza nie zastałem w domu. Interwencja przeciągnęła się kilka godzin. Tego samego popołudnia czy wieczoru transport odszedł do obozu.

Mietek odjechał, aby już więcej nie wrócić.

Szły kartki za kartkami przez cały niemal rok. Wszystkie były podobne do siebie, kropla do kropli.

„Ich bin gesund”.

Paczki były zakazane. Przychodziła zima. Z tygodnia na tydzień czekaliśmy na złą wiadomość. Nasze życie dzieliło się na okresy, w których odbieraliśmy oświęcimskie listy. Przeszedł luty i marzec. W kwietniu nadeszła kartka, w której Mietek przy pomocy umówionych szyfrów doniósł o sobie, że ma opuchnięte nogi i nie może chodzić, choć wleka go codziennie daleko do pracy.

W kilkanaście dni później nadszedł krótki telegram: „Ihr Sohn Peter ist heute gestorben. Der Lagerführer”.

Skończyła się męka. Dozgonny towarzyszył Mietkowej do li, Krieger z więzienia w Zabrzu sygnalizował później, że był przy zgonie. Mietek umierał podobno na jego rękach. Ale w kilka miesięcy później Krieger umarł również.

Ktoś ze współwięźniów doręczył nam pośmiertny sygnał. Kawał szmaty wydartej z bielizny i wszytej w płaszcz towarzysza, którego los wyprowadził z objęć śmierci. Na szmacie był napis wykonany ręką Piotra Elinka, „Jestem w obozie. Tu jest piekło. Ratujcie — Wasz Mietek”.

Ale ratunku już nie było.

W maju w kościele Świętego Aleksandra odprawiliśmy nabożeństwo za duszę zamęczonego. Kościół jaśniał światłem, śpiewem i muzyką, aby chociaż w ten sposób ukończyć zadaną duszę oświęcimskiego więźnia.

Centrala Poszukiwań PCK (Polish Forces M. E. 55) ogłasza siedemnasty kolejny Wykaz Osób Poszukiwanych, (cz. I), przy czym wyjaśnia, że, pierusze nazwisko oznacza osobę, dla której Centrala Poszukiwań

posiada wiadomość, drugie nazwisko osobę, od której wiadomość została nadesłana.

Dla: O d:

ADAMCZEWSKA Wanda, 1915-17
Cieniewicz Jerzy
Adamiak Edward, Paweł, Wilhelm
Adamiak Jan, 1900
Adamiak Emil, 1921
Adamiak Konstanty, 1915, Piotr, i. 25
Adamowicz Adolf
Adamowicz Bronisław
Adamowicz Władysław
Adamus Jan
Affenkraut Jakub, 1907, Mozes 1878
Aganowska Wanda, i. 23
Albin Iberla z N. Sącza
BACZYŃSKA Olga, 1913 z d. Kołomyj, Nadzieja 1938, Stefania 1923
Beck Irma-Irenea, 1906 z d. Malanowska
Bekieta Józefa ur. Nienadowicze, zam. Skrendziewicze, pow. Stonim wojew. Nowogródek
Bibli Ester, ur. 1893 Grodno, c. Daniela i Chaji, zam. Grodno-Białystok, Orzeszkowej 35-A
Bobolo Katarzyna, zam. Kędzierzawce, Milatyn Nowy, pow. Kamionka Strum.
Bochenek Halina Antonina, 1925, c. Jana i Feliksi
Bogacko Jan, 1935
Bogaćko Czesław
Bogaćko Stanisław, 1919
Brzezina Paweł, 1897
Brzezińska Katarzyna, 1914
Brzeziński Marian
Brzozowski Adam, 1916, Jerzy 1919
Brzozowski Jerzy, Zofia, 1908, Michał, 1906, Andrzej
Bubiłek Feliksa, ż. Tomasza, Mirosław, i Lucja, dz. Tomasza
Bucha Maria, 1920, Herbert, 1944, Eryk, 1912, Ryszard, 1925
Budyn Gerszon, lat 37
Budziński Franc., 1894
Bugalski Jan, 1916
Bujok Jerzy, 1914
Bulczak Dora, 1922
Bułdyk Dymitr, 1882, Klaudia, 1884, Aleksander, 1926, Mikołaj, 1930, Antoni, 1930, Nadzieja, 1909, Bułdyk Mikołaj
Bura Stan., 1915, Teresa, 1938, Waleria, 1940, Stefan, 1911
Burek Józef, 1918
Bury Józef, Istebna, pow. Cieszyn
Burzyńska Maria, 1906, Aleksander, 1903-4
Burzywoda Klara, 1914
Büchner Edward, lat 60, Maria, i. 50, Barbara, 1921, c. Edwarda i Marii
Byleń Barbara, 1914
Bzdawka Tadeusz, Henryk, Szamotuły
Bzdyr Michał, lat 30
CHMIELEWSKA Maria Magdalena, i. 39, Ryszard Kazim., i. 14, Antoni, lat 45, s. Jana i Franciszki
Chodorowska Emilia, lat ok. 48-49
Cyganiak Maria, 1924
Czaczk Adolf, i. 61, s. Stanisław
Czepil Dionizy, 1874
DĄBROWICZ Wanda Józefa z d. Maruniak
Danelski Sylwester, 1899, z Poznańskiego
Datta-Skrzydłowska Waleria, lat 64
Dąbrowski Alfons, zam. Łąkosz, pow. Nowe-Miasto, woj. Poznańskie
Degler Władysław, i. 19
Dembek Halina, i. 24
Dembiński Zyg., 1905, z Grójca
Demczuk Jan, 1913, zam. w. Kotelnia Podmiejska, pow. Brześć n. B.
Demel Eleonora, lat 48, Maciej, lat 22, Juliusz, lat 24
Dolatowski Henr., 1923
Dreszer Wilhelm Karol, 1911
Duchnowski Kazimierz, s. Leopolda
Dziedzic Janina, 1900, Danuta, 1924, Krystyna, 1922

EBER Bolesław
Edmund Otton, s. Adama i Marty
Eichler Franc., 1923
Ejsmont Maria, 1917
Ejzman Abram i Gabriel
Ekiert Florian, 1918,
Ember Stefan
Enerlich Tadeusz, 1908
Esposito Lena
Etienne Irena, 1909
Etmański Franc., lat 43, Ignacy, 1909
GACKOWSKI Jan z Łowinka
Gajdanowicz Anna, lat ok. 27, zam. Widze
Galbierczyk Wojciech
Galej Tadeusz, 1928, Zofia z matką
Gapski Jan, 1915, Sosnowiec
Gens Judes, 1925, Wilno
Głowa Henryk, 1925, Jerzy, 1904
Głuchowska Janina, 1911, Dolina
Głuszek Stan., 1908, Radom
Gniadzowska Anna, 1914
Godlewska Maria z d. Rakowska, 1907
Godlewska-Hermanowska
Grochowski Andrzej, lat 20, Irena, i. ok. 23
Grochowski Aleks. Tadeusz, ur. Gródek Jag.
Grymaszewski Jerzy, 1927
Guńko Władysław, 1889
HAJOK Paweł
Halama Norbert, 4.IV 1926
Halman Jan, 20.IV 1924
Hanusik Antoni, 1920, Katowice
Haracz Jan i Roman
Hazezlak Rudolf
Hełm-Pirgo Michał, inż., lat ok. 59
Herman Fryderyk, 3.8 1916, Radlin
Herman Leon
Hermann Maria z d. Figas, 1909
Hess Emil, 4.X 1920, Ludwik i.X.24
Heyman Leon, lat 29
Hlawka Ludwik
Hoffman Józef
Holcman Franc., 4.X 1890
Hryb Józef, 1888
Hyjek Jan, 1891, Mielec
IBERLA Albin z N. Sącza
Idzikowski Dyonizy, 1912
Ignatowicz Kazim.
Illek Czesław, 1912, Karol, 1910
Iltis Beno
Iguć Grasylda, ok. 1875, Monika, 1906, Franc., 1911, Paweł, 1908
Imianowski Franc., 1919, Józef 1908, Leon, 1924, Michał, 1911
Iwanicka Halina, lat 30 z Białegostoku
Iwanicki Antoni, 1909, s. Feliksa i Marii
Iwanowicz Stan. 1908, s. Anieli i Tomasza
Iwaszczuk Mojsiej, 8.IX 1909
Izdebska Lucyna, 1920, Wanda, 1917, Zofia, 1926, Zuzanna, 1929, Andrzej-Bogusław, 1939, Henryk, 1932, Józef, lat ok. 68, Tadeusz-Bolesław, 1923, Izdebski Stanisław
JABŁOŃSKI Roman, s. Michała i Katarzyny
Jackowska Anna, 1913, Halina-Danuta, 1930, Wanda, 1925, Zofia, 1890, Ryszard, 1923, Władysław, 1888
Jacyno Wacław, 1912 z żoną
Jakubowicz Bogdan, 1897, s. Jakuba i Marii
Jakubowska Aldona, Karol, lat 18, Zdzisław, lat 17
Jakubowska Stanisława z d. Taranek i Andrzej
Janicka Zofia, 1925, c. Wacława i Zofii
Janicki Wawrzyniec, 1897
Janik Wiktor, 1925
Jankowska Gertruda, 1922, Brześć n.B., Adam, 1927, Toruń, Stanisław, 1924
Jankowska Stefania z d. Krajewska, 1920
Janowska Urszula z rodziną
Janowski Franc., 1913
Jarmołowicz Piotr, 1911, s. Stefana i Anny
Jarosz Stanisław, lat ok. 55, Bronisław, lat ok. 50, Jarosz Andrzej

JARZĄBEK Daniela, 1932, Jan, 1923, Tadeusz, Jarząbek Stefan
1926
Jasiewicz Leon, 1916
Jasiński Eugeniusz, 1908 (?)
Jaworski Edward, 1914, Feliks-Filip, Jaworski Stanisł.
1907, Helena, 1922.
Jaworski Mieczysław, 1910
Jelinowicz Regina, 1904, Toła lub Tauba
1909, Sura-Mala, 1884 (?)
Jenicz Stefan, 18.V 26
Jędrzyak, 18.6. 1884, Franc., 18.X. 18
Jędrzyak, z d. Krzak, 24.2 1886
Jędrzyak z d. Mojka 1907 z dzieckiem
Juchacz Franc., 1922, Jan 1908
Juchacz Wiesław
KALINKA Zdzisław - Marian, 1926, s. Michała i Bronisławy
Kałuszyner Jakub, 1895 r. Łódź
Kamiński Jan, 1904, pow. Starogard
Kamiński Józef, 1913 z Augustowa
Kamiński Józef, 1915, Karol, 1921, Tadeusz, 1925
Kamiński Józef, 1892, s. Stanisława, Płock
Kamiński Stanisław, 1920, s. Antoniego Zofii
Kamoda Jan, 1886
Kański Adam, 1920, Adela, 1914 z s.
Jackiem, i. 6, Jan, 1911
Kapała Antoni, 1898
Kaplita Eleonora, 1915
Karniewicz Alfons, 1911-12, Baltazar, 1904-5, Kazimierz, Franciszek, Aleks.
Kasprzyk Halina, 1932, Bydgoszcz, Stanisław, 1892
Kazimierzczak Władysław, 1896
Kazimierzczak Zygmunt
Kaźmierczak Anna z Głównia k. Łowicza
Keller Franc., 1924, s. Antoniego
Kerszman Adolf, 1893
Kędziora Franc., 1894, Kurów
Kiczka Tomasz, Irena, 1925, Piekary Śląskie
Kijewski Roman, 1918, Waleria, Kłodawa, Poznańskie i narzeczona poszukiwanego Danusia
Klecha Bolesław, 1912, Pomorze
Klein Antoni, 1919
Kleniewska Halina, 1922
Klikowicz Antoni, 1889
Klose Anna, Siemianowice
Kluczkowski Zygfryd, 1926
Klugman Stanisław
Klusik Stanisław i Stanisława, Jabłonowo
Kławiś Bolesław, Deresno
Kłaczyński Bernard, 1918, Jan, 1918, Pomorze
Kłós-Nowak Zdzisława-Maria-Antonina, mgr. farm., 1912
Knauer Antoni z c. Anną, Erik, Antoni, Jadwiga z d. Kuczaty, Reginald ks.
Knaziowski Wojciech, Lubelskie
Kobus Antoni
Kobylakowa-Kwiatkowska Helena, 1885
Kobyłańska Aniela, 1914
Kocek Ludwik, Katowice
Kochanowski Stanisław, 1897
Kocięcka Janina

Kocikowski Apolinary, Pomorze
Langiewicz Benedykt
Koczan Wacława, c. Zofia
Kohne Teresa, 1923
Kolberg Oskar
Kołodziejczyk Jerzy, s. Jana i Reginy Świętek
Kołodziejska Bronisława, 1897, Alina
Anna, 1926, Ryszard, 1923, Artur, 1937
Kołodziejski Wincenty
Kołodziejski Szczepan, Rypin
Komorowska Irena-Halina, 1927, Jadwiga, 1909 z c. Teresą, 1929
Komorowski Ireneusz, 1905
Komorowski Józef, 1928, s. Tomasz
Konałówna Eugenia, lat 31, Łódź
Konarzewski Zygmunt, 1920
Konieczko Stefan
Konkolewski Kazimierz, 1923, Ludwik, 1925, Grudziądz
Konopko Katarzyna, 1911 z d. Troczków
Kościak Stanisław
Kosińska Maria z d. Bańkowska
Kostrzewski Wacław
Kowalska Anna z d. Gabor z s. Józefem
Kowalski Zbigniew - Władysław, 1921, Warszawa, s. Natalii i Wład.
Kowalscy Natalia i Wład.
Kozak Franciszek, 1915
Kozłowska Elżbieta
Kozłowska Maria
Krajewski Jan, 1928, Wład. 1927
Kretz Leopold, 1902, Lwów
Krowicka Jadwiga
Kubla Maria, lat 39
Kublicki Jan, 1887, s. Adama
Kulik Leon, 1926
Kulisz Józefa, 1932, Zbigniew, 1936, Zofia, 1913, Andrzej 1940
Kulka Piotr, 1895
Kulling Feliks, 1904
Kunow Władysław, 1907
Kurowska Regina, 1911
Kuryłowicz Leon
Kurz Szymon
Kwapiszewski Leszek
Kwiatkowska Jadwiga z d. Liebich
Kwieciński Jerzy-Ryszard, 1907
LABUDA Maria i Anna, Gdynia
Lachowicz Janina z d. Katarzyna, W-wa, Zofia, Gizela
Ladra Władysław, 1910
Lamza Ernest, 1925, Śląsk
Landowski Jan
Lanko
Laskowska Joanna
Lauda Stefania, 1914 z d. Szönfeld z 4 dzieci
Leitner Józef
Leja Stanisława, 1923, c. Stanisława i Anny
Lejrer Helena, pow. Katowice
Lenart Bogusław-Kazim. 1926, Teresa, 1930, Klepacze
Lengowska Elżbieta
Leonczuk Mikołaj, 1911, s. Prokopa i Marii
Lesińska Romana
Leszkowicz Julian, lat 39, s. Kazimierza i Katarzyny, Piotr, lat 39, s. Andrzeja i Urszuli
Leszkowicz Adam

Osoby, które odnajdą swe nazwiska w niniejszym Wykazie Nr 17 (Cz. I), zechcą zwrócić się listownie do Centrali Poszukiwań (Polish Forces Middle East 55), posługując się następującym wzorem pisma (można wyciąć, wypełnić i przesłać)

Do CENTRALI POSZUKIWAŃ PCK NA ŚR. WSCH. Polish Forces M. E. 55

- W Wykazie Nr 17 (Cz. I) Centrali Poszukiwań PCK, ogłoszonym w Nr 26 (70) „Parady”, figuruje wiadomość, przeznaczona: (wypełniać literami drukowanymi)
dla
od
- Proszę o przysłanie omawianej wiadomości pod moim adresem:
Moje nazwisko i imię
Rok urodz. Imiona rodziców
Mój adres
- Jeżeli okaże się, że przesłana mi wiadomość mnie nie dotyczy, zobowiązuję się zwrócić ją do Centrali Poszukiwań PCK.
- Załączam Postal Order wystawiony na imię: „Centrala Poszukiwań PCK” w wysokości sh (szylingów) tytułem dobrowolnej ofiary na rzecz akcji poszukiwań PCK.
Data Podpis

WIGILIA PRZEDWOJENNEJ WARSZAWY

Kryształowe okruszyny śniegu rozbitym szklivem pokrywają ulice. W kręgu srebrnych aureoli, młeczne kule łukowych lamp rozwidniają wczesną szarość zimowego zmierzchu. Drewnianymi szufkami na długich drągach, niczym łopaty piekarza, tramwajarze w brunatnych płaszczach z kapiszonami zbierają mękę śniegu rozsypanego na szynach. Na Placu Trzech Krzyży wyrósł wyczarowany nagle zielony zagajnik pachnących choin. W roziskrzonych wystawach sklepów błyszczą wielobarwne cacka: srebrne szyszki, złote bomby, kolorowe świece, Święty Mikołaj z waty i tekturowe aniołki. Przy zbiegu Alej i Nowego Świata na szczycie Banku Gospodarstwa Krajowego, lśni błękitny samolot unosząc się w neonowym pierścieniu ponad wezwaniem: „Podróżuj Lotem”. Z krawędzi przeciwnego dachu rwie się do skoku fioletowy jeleń reklamy mydeł.

Na piętrze metalowej wieżyczki, policjant dzwoniącymi sygnałami dyryguje koncertem Warszawy, spieszącej ku Wigilijnej Wieczery.

W sklepach z winem i bakaliami — ścisł i tłok, w cukierniach — torty wyprzedane. Ulice uginają się pod ciężarem ciżby obładowanej paczkami.

„Najlepszy zimny ogień tylko tutaj!
Nie ambaras — kupić zaraz
Jutro po obiedzie — już go nie będzie!”
Wołają sprzedawcy szarych pręcików strzelających snopem złotych iskier.

Nie mniej poetyczni są właściciele ruchomych księgarń, zawartych w koszu od bielizny:

„Bajki, bajeczki
Dla synka i córeczki!
Kto nie kupi,
Ten jest głupi!
Brać i wybrać za jedne dwadzieścia groszy, co w koszu — to na wybór!” —
Brzmi dosłownie krzykliwa reklama.

Z równym zapałem ogłaszają się przekupnie nakręcanych zabawek, z których każda: „Nie je, nie pije — a chodzi żyje”. Opodal ofiarują „prawdziwe armeńskie kadzidło”, „higieniczne lusterka kieszonkowe”, lub zachrypłymi od krzyku, czy z przepicia, głosami zapraszają: „Do mandarynek! Do mandarynek! Prawdziwe katańskie, pięć za złoty!” Jeszcze inni w przytupie zmarzniętych stóp drepczą w miejscu ściskając długie kije z rwącym się w przestworza bukietem barwnych balonów.

Są to ostatnie chwile przedświątecznej gorączki, zanim ludzie przyjdą do swych mieszkań... spóźnione tramwaje skryją się w zajezdniach... ulice opustoszeją... na niebie zapłonie pierwsza gwiazda i Warszawa pograży się w głęboką ton wrzuszającej ciszy Świąt Bożego Narodzenia.

Dźwięczy Noc Wigilijna prostotą śpiewanych kolęd, szczerością serdecznych życzeń, szczęściem w dziecięcych oczach z gwiazdkowych podarków.

Najpiękniejsze ze wszystkich w świecie świąt — Polskie Boże Narodzenie śmiga, jak strzełił z bicza. Niefrasobliwa, jak zwykle, Warszawa poprzez tę radosnego rozrzwinięcia śmieje się z siebie tylko właściwym humorem. U klasycznego pana Piecyka na Targówku, Święta rokrocznie udają się wysmienicie. Najlepszym tego dowodem, że Pogotowie Ratunkowe obraca tam i z powrotem co najmniej z dziesięć razy, odwoząc gości do szpitala Dzieciątka Jezus lepiej, niż taksówki do domów.

Za opuszczonymi żaluzjami tego, czy innego sklepu wiktuałów, dowcipni wamywacze urządzali sobie fantastyczną libację. Jedli, pili lepiej, niżli ktokolwiek inny w mieście i wychodzili, pozostawiając kartkę z uprzejmym podziękowaniem za gościnę i życzeniami Wesołych Świąt.

Pensjonarki i sztubacy w beztróscie zimowych wakacji, aż po Trzech Króli, zawzięcie ślizgali się na lodowiskach w takt tanecznych melodyj, płynących z wysokich megafonów. Dworzec kolejowy, najeżony pikami nart, wysyłał długie pociągi do Krynicy i Zakopanego. Wypełnione po brzegi teatry i kina grały farsy i komedie. Stolica — serce Polski tętniła pełnią życia w radosnym oczekiwaniu Nowego Roku.

Taką byłaś niegdyś Warszavo: wiecznie młoda, szczęśliwa, roześmiana, najdroższa... dziś — Warszavo w gruzach, Warszavo w krwi...

TADEUSZ WITTLIN

